

2746- 0,40

ODSIECZ WIEDNIA

OBRAZ DRAMATYCZNY W V^a AKTACH

Z PROLOGIEM I EPILOGIEM

napisał

Wincenty Kapacki.

Uwieńczony pierwszą nagrodą na konkursie w Krakowie, ku uczczeniu 200-letniej rocznicy oswobodzenia Wiednia.

Venimus, vidimus, Deus vicit.

Jan III do Innocentego XI.

Odbitka z Biblioteki Warszawskiej z m. Września i Października 1883 r.

WARSZAWA.

W Drukarni J. BERGERA PRZY ULICY ELEKTORALNEJ NR. 14.

1883.

ODSIECZ WIEDNIA.

<http://rcin.org.pl>

ODRZECZ WIEDNIA

ODSIECZ WIEDNIA

OBRAZ DRAMATYCZNY W V^u AKTACH

Z PROLOGIEM I EPILOGIEM

napisał

Wincenty Kapacki.

Uwieńczony pierwszą nagrodą na konkursie w Krakowie, ku uczczeniu 200-letniej rocznicy oswohodenia Wiednia.

Venimus, vidimus, Deus vicit.

Jan III do Innocentego XI.

Odbitka z Biblioteki Warszawskiej z m. Września i Października 1883 r.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-120 Warszawa
Tel. 25-82-62, 26-52-31 w. 42**

WARSZAWA.

W Drukarni J. BERGERA PRZY ULICY ELEKTORALNEJ NR. 14.

1883.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.
Варшава 6 Октября 1883 года.

2846

JANOWI MATEJCE

W HOŁDZIE GŁĘBOKIEJ CZCI I UWIELBIENIA

AUTOR.

OSOBY:

Cesarz Leopold I.

Król Jan III.

Elektor saski.

Elektor bawarski.

Książę lotaryński.

Wielki wezyr Kara-Mustafa.

Selim Gerej han tatarski.

Tekeli, wódz wojsk węgierskich.

Królewicz Jakób.

Krzysztof Pac, kanlerz w. lit.

Sieniawski, hetman.

Konieczpolski.

Sapieha.

} Panowie polscy.

Proski, poseł do Turek.

Jerzy Franciszek Kulczycki.

Miecznik kowelski.

Stanisław, syn jego.

Rubinkowski.

Diakowski.

Rączkowski.

} Szlachta.

Pallavicini, nuncyusz papieżki.

Hrabia Waldstein.

Hrabia Schawgotsch.

Silberglück.

} Panowie niemieccy.

Ks. Marek Aviano, Kapucyn.

Kasztelan—Podkomorzy—Wojski—Podskarbi—Burmistrz Wiednia—Rajca—Minister—Marszałek Cesarza—Poseł Hana—Kichaja—Włoszyn—Mufty—Frytz—Baszowie—Janczarowie—Czauszowie—Panowie polscy i niemieccy—Lud wiedeński—Szlachta polska.

Królowa Marya Kazimiera.

Miecznikowa.

Hanna Konarska.

Kamieniecka, polka.

Zelia, bułgarka.

Jaryna, serbka.

Prakseda, bośniaczka.

} W haremie wezyrskim.

Stara Elżbieta.

Liza.

} mieszcзки wiedeńskie.

Rzecz w roku 1683.

PROLOG

w Willanowie.—Ogród w stylu francuzkim Ludwika XIV.

SCENA 1.

Podskarbi,—Miecznik,—Stanisław z prawej wchodzi.

Podskarbi. Prowadzę was tym wirydarzykiem, gdzie tylko wybranym iść się godzi. Nasz Mars nieśmiertelny Florze i Ceres składa ofiary. Zobaczysz tu, Mieczniku, bohatera z pod Chocima i Lwowa, jak rydlem i grabiami przewodzi. Czekajcież tu. Tam w postuchalnej izbie nie docisnąłbyś się wasze, tu zobaczycie pana rychło.

Miecznik. Bóg płac miłości waszej. Od żurawińskiej okazy nie widziałem oblicza Króla Jegomości, tęskno mi jak za widokiem słońca, a szabla też porzewiała mi w pochwie i waszmość dobrodziej się dziwi, że ja stary tak siarczyście dzwonię na to kazanie.

Podskarbi. Bo czasby odpocząć, mój Mieczniku.

Miecznik. Albożto tam mało odpoczynku mieć będę? Wiekuisty to odpoczynek. Lecz nim on przyjdzie, trzeba jeszcze krwi niepożalować i ot *(wskazuje na Stanisława)* wykrzesać tego, aby godnym był następcą po ojcu.

Podskarbi. To już tylko jeden ci pozostał?

Miecznik. Jedyny. Na niego spadnie cała puścizna ojcowska, i ta trocha pocziwej sławy, jaką mam u ludzi i odwieczna zemsta nasza dla wroga.

Podskarbi. Cenna to puścizna, mój Mieczniku, na niebieskiej odważona szali aleć i o ziemskiej zapominać nie trzeba. Co ci Tatar nie spalił, toś na ołtarzu ojczyzny złożył i zaledwie ci zostało tyle, że masz gdzie głowę położyć.

Miecznik. Nigdy się nie włókł za kapryśnym kołem fortuny. Dała, dobrze; wzięła, drugie dobrze. Świętej sprawie służyłem życie całe, i mój następca pójdzie tym szlakiem.

Podskarbi. Choć czołem biję przed cnotami waszmości, wolałbym jednak, aby cię tą razą ominęła wojenna okazyja. Skarb pusty. Rzeczpospolita spokoju pragnie, tego spokoju tak drogo okupio-

nego. Po co nam włazić w rakuską ligę. Ciągnąć gdzieś w kraj niemiecki z posiłkami i na niepewną szalę rzucać całą narodu przyszłość.

Miecznik. Nie rakuskie to sprawy, panie Podkomorzy, to odwieczna sprawa Chrześcijaństwa z wrogiem wiary świętej. To bój, co od tyłu wieków poczęty a do końca mu daleko. Kto żyw, niech staje, kto żyw niech prosi Wszechmocnego, aby mu dano szczęścia oglądać tryumf krzyża świętego i kości swoje złożyć na polu chwały. Jakiżto spokój wasza miłość chciałbyś zgotować Rzeczypospolitej? Spokoj w więzach pohańca, który się nam naigrawa, dierzając najprzedniejsze warownie nasze.

Podskarbi. No, no, widzę że u waści rycerskiego animuszu nie zaspokoić perswazyą, trudna to sprawa, spierać się też z wami nie myślę jak i z całą falangą, co od miesiąca oblega wilanowski dziedziniec. Dam znać o was królowi, który rad będzie staremu towarzyszo wi z pod Chocima, ale jeszcze raz wam powiem, że słaba nadzieja tej pomocy. Litwa wręcz isć nie chce — i w senacie zgody nie ma a o kozakach ani myśleć. Trudno z garstką koroniarzy isć przeciw całej Osmanów potęgze. (*Odchodzi*).

SCENA 2.

Miecznik.—Stanisław.

Miecznik. Tak, wam zawsze trudno dźwignąć się z wygodnych stołków dworskich. Żal rzucać tłustych kęsków, co lecą z pańskiego stołu. Aż dopiero pożoga zrumieni niebo i poleje się krew, aż Jedykułu więzienia zapełnią jasyrem i haremy sułtańskie kwiatem naszych dziewic... Aż wreszcie zagrożą pierzynom waszym. Tfu! I takiż człek piękny zaprzepaścił się w tej intryganckiej zgrai. Ale choćbyście z waszym Morsztynem i całą francuzką spółką taką górę ukuli intryg jak wieża Maryacka; król pójdzie z nami na tureczyna. (*Do Stanisława*). Czegożeś się aż tak zamedytował? Popatrz na te kwiecie i drzewa ręką pańską sadzone i pielęgnowane. Zda się i woń i kolor u nich piękniejszy jak gdzieindziej. Cóż? Tęskno ci za bogdanką i za matuli rańtuchem?

Stanisław. Nie to, mój ojczu.

Miecznik. Więc nie trać mi fantazyi. Zobaczysz tu takie rzeczy, jakichbyś tam za piecem siedząc nie widział. Powrócisz mądrzejszy niż żebyś stopy ksiąg przewertował. Ja, nim matkę twoję pojąłem, w sześciu potrzebach z wrogiem się starłem, a miłowałem ją równie gorąco jak ty swoje. Wyszedłem z domu ojcowskiego ni do tańca ni do różańca, a wróciłem mężem doświadczonym; bo w polu tylko hartuje się rycerska dusza.

Stanisław. Matka wciąż mi na oczach stoi. Żegnała nas z takim wielkim żalem.

Miecznik. A no, biedna ona nieboga. Sama jedna, ale nie frasuj głowy; tyle krzyży w życiu swoim zniosła mężnie, że gdyby ją

jeszcze Bóg chciał doświadczyć jednym, to i ten znieść potrafi. Nie położyłbym głowy spokojnie, gdybym praojców gniazdo zostawił na kresach bez obróńcy i mściciela. Rozpoczniesz zawód rycerski pod doświadczonej okiem ojca. Bóg jeden wie, jaka ci się przyszłość uśmiecha, mój chłopcze. Może nim umrę, zobaczę jak świetny wawrzyn do ojcowskich dodajesz zastug. Tymczasem Bóg cię błogosław, Stasiu. Rozpogódź czoło i z miłością a wiarą w świętą sprawę idź z ojcem twoim.

Stanisław. O! drogi ojczel

Miecznik. Jać wiem, mój chłopcze, jak to trudno wydrzeć z duszy niepokój, co nas trapi, za temi, którzy doma zostali na Bożej opiece; ale na to nieporadzić. Siła męża w wytrwaniu. Ale bacność, ktoś nadchodzi, patrz i ucz się. (*Wchodzi Diakowski*).

SCENA 3.

Miecznik.—Stanisław.—Diakowski.

Diakowski. To ja, panie Mieczniku.

Miecznik. Aści wszędzie pełno; jakżeś tu się dostał?

Diakowski. Jak mysz, przez szparę. Dobre nowiny.

Miecznik. Gadaj.

Diakowski. Uwieszono nam posła w Stambule.

Miecznik. Bierz cię lichy z takimi dobrmi.

Diakowski. Dobry polityk wrzekomo złe na dobre obrócić potrafi.

Miecznik. Złe, jest złém zawsze i wszędzie. Biédny pan Proski! Nie daj, Panie, aby głową nałożył tę ekspedycyą. I jakiz waść dobry omen z tego wyciąga?

Diakowski. Prędzej ruszym na Turka. Wzburzenie straszne w chorągwiach; wszyscy drą się by iść naprzód. Hetman Jabłonowski posunął się ku Tarnowu, Sieniawski już stanął w Krakowie.

Miecznik. Chwała Ci Panie!

Diakowski. Pacowie wicherzą straszliwie. Mówią że Litwin nie głupi wyciągać Niemcom kasztany z pieca. Sapihy tylko nam życzliwi.

Miecznik. Bez Litwy pójdziemy. A o poselstwie wiedeńskim co mówią?

Diakowski. Dziś ma być posłuchanie.

Miecznik. Bogu niech będzie chwała.

Diakowski. Całe zastępy deputacyi z Morawy i Szlązka zalega dziedziniec pałacowy. Poseł francuzki wyjechał wyśmiany i obrzucony błotem.

Miecznik. Farmazony.

Diakowski. Mówią, że królowa jejmość słyszeć nie chce o francuzach. Stary d'Arquien dostał pedogry. Nuncyusz i hrabia Wald

stein ciągle przesiadują u jejmości. Konszachty straszliwe układa pani nasza; przy tym ogniu kilka pieczeni chciałyby upiec.

Miecznik. Niech piecze i my upieczemy swoje.

Diakowski. Ale o najważniejszej rzeczy byłbym zapomniiał. Gdym tu biegł, przyleciało z Warszawy trzech kuryerów i wciągnięto ich zaraz do królowej jejmości, więc nie mogłem złapać języka. Otóż macie wszystko. Gęba mi się wystrzępiła—niech odsapnę. Miłościwy Mieczniku, czy dostąpię tego splendoru, abym uzyskał protekcją waszę?

Miecznik. Bądź aś spokojny! Nadchodzą. (*Wchodzi król Jan w żupanie, w ręku nożyce do obcinania drzew i sucha gałąź, za nim ogrodnik, z którym król rozmawia, dalej Podskarbi*).

SCENA 4.

Król Jan.—Miecznik.—Stanisław.—Diakowski.—Podskarbi.—Ogrodnik.

Król Jan (*do Ogrodnika*). Gadaj co chcesz, te cebulki flamandzkie całkiem nam się nie udały.

Ogrodnik. Niech tylko deszczu trochę, Miłościwy Panie.

Król Jan. Daj aś pokój deszczowi, nam tu pogody potrzeba. (*Do Miecznika*). Nieprawdaż Mieczniku kochany? Dobra nasza, kiedyś i ty tu stary.

Miecznik (*chyląc się do nog króla*): Umierałem z tęsknoty, Miłościwy Panie! Całuję nogi W. Kr. Mości.

Król Jan. Bądźże mi pozdrowiony Brutusie. Czy aś pakta zawarł z starością? a toć od lat dziesięciu ani jednej zmarszczki ci nie przybyło.

Miecznik. Niema już miejsca dla nich na mojej twarzy, za to lice Miłościwego Pana kraśnieje mi zdrowiem i humorem wesołym, a on ogródek niby raj ziemski się uśmiecha.

Król Jan. Kiedy i w raju są węże, mój Mieczniku.

Miecznik. Gdzież ich niema. Szczęśliwy ten, kto się pod archanielskie skrzydła W. Kr. Mości Pana mego miłościwego skryć może.

Król Jan. Czyżbyś ty, towarzyszu stary, mój mentorze, skrzydeł mych potrzebował, ty, któryś ich uczył lotu? Ach! przez Bóg żywy, niechże raz w życiu mam to szczęście, że ci usłużyć mogę. Boćto nie daremnie zwą aści Cyncynatem. Krom od Boga, nic od nikogo nie przyjmiesz.

Miecznik. Po Bogu tylko od Was, Miłościwy Panie, przyjąć mogę. Udziel mi łaski, abym jeszcze jedną odbył z wami wiktoryą. Jużem był starą szablę zawiesił i smutnie spuścił głowę, żyjąc tylko wspomnieniem lat ubiegłych, gdy do mego zaścianku doleciały wieści,

co stare serce rozradowały niewymownie. Panie Najmiłościwszym! toć takiej okazji nigdy Polska nie miała, jaka się jęj dziś gotuje. Wez-
 zyr, słyżę, z całą potęgą idzie na dom Cesarski. Europa cała krom
 Francuza spieszy na pomoc, i na czele chce mieć bohatera z pod Cho-
 cima i Lwowa. Chrześcijaństwo całe obróciło oczy na Pomazańca
 Pańskiego, bo wierzy, że w jego tylko dłoni zwycięstwo pewne, jedyne.
 Oh! słyżąc to wszystko, zdawało mi się, że mogiły nasze, tam rozsiane
 na stepie, w zieleńszą, piękniejszą barwę się przybrały, a w wichrze
 stepowym słyżać radosne wyčia: Victorial Victorial!

Król Jan. Szlachetny starcze, czemuż cię słyżać nie mogą
 ci wszyscy, coby mi radzi zatruć każdą godzinę życia zwątpieniem
 i odmową, pójdziemy, da Bóg, i nowy wawrzyn wywalczym orężowi pol-
 skiemu.

Miecznik. Amen, Królu miłościwy! Już teraz jak pies wierny
 w progę ci się położę, dopóki surma wojenna nie zagrzmi.

Król Jan (*patrząc na Stanisława*): To twój syn. W szkole rycer-
 skięj chcesz go ćwiczyć?

Stanisław (*rzucając się do nóg Królowi*): W ślady ojca wstąpić
 pragnę, aby służyć wiernie W. Kr. Mości i Rzeczypospolitęj.

Król Jan. Znajdziesz aś we mnie takiego przyjaciela, jakim
 dla ojca twego jestem. (*do Diakowskiego, który stoi na stronie*): A waść kto
 taki?

Diakowski (*padając na kolana*): Jędrzję Diakowski do usług W.
 Kr. Mości. Byłem skrybentem w starostwie wyszogrodzkiem, ale po-
 wiedzialem sobie: żyć marnie na świecie przy onym inkauście, i słu-
 chać spraw żydowskich, a nie widzić, co się na świecie dzieje, kiedy
 Bóg dał i swady trochę i głowę nie do pozłoty; żyć pod panowa-
 niem Najmiłościwszego Króla i bohatera, Jana III, i nie widzić nigdy
 Jego oblicza, nie módz Mu służyć wiernie, kiedy serce i dusza rwie się
 do niego, toć lepiej z kamieniem do Wisły. I gdy zrozpaczony już
 miałem grzech śmiertelny wykonać, sam nie wiem jakim sposobem
 czarnoksiężkim znalazłem się na statku, co właśnie do Warszawy pły-
 nął z piernikami z Torunia, i miasto gorącej smoły, znalazłem się
 w pośród słodkości i przybiłem szczęśliwie do przystani. Panie Mił-
 ościwy! toć czasem i myszka mała może lwu oddać usługi. Jam tą my-
 szą. Rozkaż, Miłościwy Panie a wpętnę wszędzie, byle mieć to
 szczęście, że służyć dla Was pełnię.

Miecznik. I ja się do W. Kr. Mości za nim wstawiam. Człek
 obrotny, umie się dobrze znaleźć w potrzebie.

Król Jan. To mu z oczu patrzy. No, zostaniesz przy moim
 dworze, Mości Diakowski. A pamięć aś ma dobrą?

Diakowski. Jak kalendarz Krakowski.

Król Jan. Daj go katu! Otóż na trzy rzeczy pamiętać bę-
 dziesz: mało mówić, prędko robić, o nic nie pytać.

Diakowski. I oddać życie za W. Kr. Mość.

Król Jan. To obowiązek szlachcica, a Waść szlachcic przecie?

Diakowski. Herbu Mądrostki, a mamy naturę cichą, skromną, lubo nie kapuścianą głowę, jak o tём Długosz jeszcze szeroko pisze.

Król Jan. To się pokaże. Idź do Marszałka, niech cię w rejestr mych dworzan wpisze.

Diakowski. Sługa Waszój Królewskiej Mości. (*Odchodzi; wchodzi Kanclerz*).

SCENA 5.

Król. — Miecznik. — Stanisław. — Podskarbi. — Kanclerz wielki litewski.

Król Jan. Cóż panie Kanclerzu przynosicie?

Kanclerz. Smutną twarz tylko i serce przepełnione boleścią.

Król Jan. To nie nowina. Odkąd tём nieszczęsném berłem władam, nie widziałem u was innój. Długoż będziem czekać, aż te chmury na litewskim firmamencie słońce obowiązku i sprawy świętej rozjaśnią?

Kanclerz. Litwa swój obowiązek, jaki względem W. Kr. Mości i Rzeczypospolitej zaciągnęła, wysoko nosi; ale maż ona gwoli ambitnym zamysłom frakcyi stawiać na hazard życie i mienie swych braci? Maż iść wbrew przekonaniu? Takiego obowiązku Litwa względem nikogo nie zaciągała.

Król Jan. Zawsze jedna piosnka: gwoli ambitnym zamysłom frakcyi! Więc wola króla, głosem wolnego sejmu poparta, to u was ambitne plany frakcyi? Więc walka z niewiernym w obronie chrześcijaństwa i ojczyzny, to walka wbrew przekonaniom waszym?

Kanclerz. Tak; to walka, która krom rozgłosu dźwięcznego nic Polsce nie przyniesie. Pójdziesz W. Kr. Mość i zwyciężysz. Niemcy ukłonią ci się pięknie i to będzie cała korzyść wyprawy. I godzi się dla marnego blasku poświęcać siły narodu?

Król Jan (*wzburzony*). Nie wam roztrząsać czyny moje, które kiedyś historia na kartach swoich zapisze. Nie waszym językiem, pełnym zółci, kalać sprawę w imię najświętszych celów podjętą. Nie będę czekał na wojska wasze, pójdę z moją wierną Koroną, zostawiając tu pole oszczerstwu i prywacie, która więcj waży, niżeli pocziwa sława na polu walki zdobyta. (*Wchodzi Dworzanin*).

Dworzanin. Pilne pismo do W. Kr. Mości.

Król Jan (*przeczytawszy*). Sapiaha z swoją chorągwią idzie przecie. Niezupełnie tryumfujecie, panowie Litwa. (*Wchodzi prędko Królowa, za nią Pallavicini, Hr. Waldstein, Senatorowie*).

SCENA 6.

Ciż.—Królowa.—Pallavicini.—Hrabia Waldstein.—Senatorowie.

Królowa. Po całym ogrodzie szukamy Miłościwego Pana.

Król Jan. Aśka zalterowana, Marysieńko!

Królowa. Wiedeń obleżony. Kara Mustafa opasał go woj-
skiem, niby żelazną obręczą. Kuryerzy przybyli ledwie żywi: za mną
śpieszy poselstwo.

Król Jan. Nie mogę tu ich przyjąć. Weźciez te insygnia ode-
mnie (*oddaje nożyce ogrodnikowi*). Wiedeń obleżony, czyżby on śmiał?

Królowa. Niech mówią. (*Przystępują szybko Pallavicini i Wald-
stein, padając na kolana*).

Hr. Waldstein. Królu miłościwy, ratuj Wiedeń!

Pallavicini. I Chrześcijaństwo!

Król Jan. Powstańcie panowie! Do tegoż przyszło? O Wie-
deń się pokusił. Powstańcie!

Hr. Waldstein. Nie wstaniemy, Miłościwy Panie. Dopóki
niebezpieczeństwo nie było groźne, snuliśmy projekta i plany; dziś ono
już w sercu naszym. Ratuj, ratuj, panie, Chrześcijaństwo od zaguby
nieuchronnej!

Pallavicini. W tobie nadzieja nasza cała. Głowa Kościoła
przez moje usta przemawia. Jeżeli Ty, najprzywiązańszy z synów nie
staniesz do obrony, cóż nas czeka? Chciwości i łupieztwu pogan nic
się nie oprze. Poleje się krew chrześcijańska, a świętej stolicy Piotra
grozi ruina i pohańbienie. Ulituj się królu wielki!

Król Jan. Powstańcie panowie! Czyż tu już trzeba argumen-
tów większych? Czyż ten jeden: Wiedeń obleżony! nie wystarcza za
wszystko? Widzieliście gotowość moją w tej pomocy. Byliście świad-
kami, jak wszelkich sił dokładałem, aby gromadzić wojska. Czekałem
nadaremnie. Dziś już nie czas na zwłokę. Każda chwila, to cios za-
dany w serce Europy. Przez Boga! Choćby mi przyszło z garstką
moich przyjaciół iś Wiedniowi na odsiecz, pójdę. (*Do jednego z panów*).
Z jutrzejszym rankiem niech będzie wszystko do wyjazdu gotowe.
Wszystkie siły pod Częstochową gromadzić. Pomodlim się Najświę-
tszej Pannie i dalej na odsiecz Wiednia!

Królowa. Oh! bohaterze mój!

Kanclerz. Przekłęcie!

Wszyscy. Niech żyje król!

Miecznik. Oh! głupi bisurmanie, pod tym Wiedniem znaj-
dziesz mogiłę; to tak prawda, jako to piękne słońce nad nami (*patrząc
groźnie na Kanclerza i Podskarbiego*). A kto trwożnego i nieczystego du-
cha, niech zostanie w domu, bo wielkie dzieć się będą sprawą na świecie.

AKT I.

Pod Wiedniem.—Namiot wielkiego Wezyra, cały z purpury.—W głębi odsłonięty widok na Wiedeń, z boków wejścia większe i mniejsze. Na przodzie sceny: z lewej podwyższone siedzenia dla Wezyra, niżej dla Baszów, z prawej poduszki dla harem. W namiocie przepych i bogactwo. Przed i za podniesieniem zasłony szturmowe strzały do murów. Zasłona się podnosi, scena przez chwilę pusta; wchodzi Wezyr i Tekeli, za nimi Kichaja, dwóch Czau-szów, dwóch Janczarów i dwóch Murzynów.

SCENA 1.

Wezyr. — Tekeli. — Kichaja. — Janczarowie.

Wezyr (*dając znak Kichai; ten daje znak Janczarowi, który wychodzi spełnić rozkaz, co się dzieje za każdym takim znakiem Wezyra*): Odpocząć! Jutro będziemy w Wiedniu. Jutro ostatni szturm.

Tekeli. Do jutra, Wezyrze, daleko; tymczasem pomyśl o groźniejszym nieprzyjacielu i przestań szturmu. Sobieski w drodze!

Wezyr. Bodaj wam zaraza wasz przeklęty język onieniła. Czyście wy puszczyciem, posłannikiem Szejtana (Dyabła)? Kłamstwo to jest potworne, w które ja nie uwierzę nigdy.

Tekeli. Boleję nad zaślepieniem waszém; tymczasem miarkujcie słowa, bo i u mnie krew w żyłach.

Wezyr. Przekonamy się o tém przy jutrzejszym szturmie. Zbieranina wasza niech będzie gotowa, poszlę ją pod Schottenthor; trzeba oszczędzać drogich głów Padyszacha. Dosyć długo twoi Frankowie i Węgrzy spoczywali i pili.

Tekeli. Jeszcze raz mówię wam, że mam pewne wiadomości. Wojsko polskie pod wodzą Króla, spieszy na odsiecz. Oto listy, które mi donoszą, że Sobieski dziś... jutro, stanie pod Wiedniem.

Wezyr. To baśń, która płynie z ust Niemców, aby osłabić męstwo dzieci Padyszacha. Sobieski nie cierpi Niemców, wołałby on teraz Kamieniec od nas odebrać, niżeli iść tu pomagać tym, którzy jutro u stóp moich korzyć się będą. Cóżby mu za korzyść z tego?

Tekeli. Przyjdzie pora i na Kamieniec; teraz jednak Sobieski jako rycerz chrześcijański, na wezwanie papieża nie dla korzyści, a dla Wiary walczyć będzie.

Wezyr. Dla Wiary! ha! ha! ha! bawisz mnie giaurze. A któryżto z was wierzy? który z was jęj dochowuje drugiemu? Każdy zaprze się Boga swego tysiąc razy.

Tekeli. Obecnie przekonasz się, że ta Wiara cuda zdziałać potrafi. Odgłos oblężonego Wiednia napełnił grozą Europę. Ludwik już się cofnął, całe Niemcy powstały i łączą się z księciem Lotaryngskim.

Wezyr. Jak jutro Wiedeń zdobędę, pierzchną. Ale ja wiem, że wam nie w smak potęga nasza... wy już skryte zamachy knujecie z królem polskim, strzeżcie się... ta malowana budowa, którąś otrzymał z rąk naszego Padyszacha, skruszy się jak trzcina i godniejszemu łaski korona węgierska się dostanie.

Tekeli. Tę budowę dał mi naród, nie prosiłem was o pomoc, ani o protekcją, samiście się ofiarowali... a dziś panami naszymi już być chcecie.

Wezyr. Bośmy nimi od chwili, gdy stopa nasza na tej ziemi, bo Padyszach twoim panem, odkąd kaftanem cię udarzył swoim, a tyś go przyjął, chrześcianinie, bo przed potęgą proroka cały świat na kolana upaść musi. Gdy jutro w prochu padnie państwo Leopolda, my będziemy stwarzać króli chrześcijańskich.

Tekeli. Jeszcze raz ci mówię, Wezyrze, że do jutra daleko. Jesteś wielkim wojownikiem, nie przeczę, ale duma szalona i ambicya, przepaść przed tobą wykopią. Kiedym radził, aby zajmować naddunajskie prowincje a sam chciałem uderzyć na Sobieskiego, by wstępnym bojem wstrzymać go od dania pomocy Niemcom, tobie zachciało się sławy zdobywcy Wiednia... o Atylli marzysz laurach, ale one nie dla ciebie, Wezyrze!

Wezyr. Strzeż się giaurze.

Tekeli. Ty się strzeż, twoi Janczarowie już zaczynają szemrać.

Wezyr. (*porywając się do miecza*): Czyś tu przyszedł зараżać mój obóz twoim językiem przekłętym?

Tekeli. Schowaj broń, bo pod namiotem twoim stoi zastęp moich rycerzy i nim skiniesz na twoich Askerlaz (żołnierzy), krew tu popłynie... a ona będzie potrzebna dla Polaków. (*Wchodzi Czauz*).

Czauz. Effendim! On-baszi (Dziesiątnik) przyprowadził człowieka, znaleźli go Askerlaz w fosach przy Schottenthor, w naszym świętym stroju, który się mianuje wyznawcą proroka i mówi, że nowiny z Wiednia przynosi.

Wezyr. Bahałym (zobaczymy).

(*Czauz wprowadza Kulczyckiego w tureckim stroju*).

SCENA 2.

Ciż i Kulczycki.

Kulczycki. Ewała (pozdrowienie) Effendim! tyś sprawiedliwy!

Wezyr. Ktoś ty?

Kulczycki. Sługa proroka. Proch nędzny Padyszacha, który niech tysiąc lat żyje i zwycięża! Baranami kupczę. Nauczyłem się języka niewiernych, bom przebywał nad Dunajem. Zmieniłem świętą odzież i dostałem się do ich miasta. Trwoga tam i lament wielki przed potęgą twoją, o światło słońca! Brak im chleba i prochu. Widziałem na własne oczy, jak jedli szczury i koty. Jutro jeżeli szturm przypuścisz, weźmiesz miasto. Niech chwała będzie prorokowi i tobie, synowi jego światłości.

Wezyr. Gdzie jest najstabszy opór?

Kulczycki. Wszędzie.

Wezyr (*tupiąc nogą*) Gdzie skupione siły największe?

Kulczycki. Na Löwelbastei.

Wezyr. Kłamiesz, podły psie. Największe siły w belsuardzie cesarskim i w Mólker-bastei.

Kulczycki. Ty wiesz najlepiej, o Effendim!

Wezyr. Co mówią o posiłkach króla polskiego?

Kulczycki. Spodziewają się posiłków, ale o królu nie sły-
chać; jest tylko Lubomirski.

Tekeli. Weź człowieka tego na tortury, wezyrze, to jest szpieg z wojska Starhemberga, on przegląda wasz obóz i przekrada się do króla polskiego.

Kulczycki (*z wykrzykiem*). O, Allach! mnie mianuje szpiegiem ten giaur (*padając na kolana*). La haula ona la kuweta illa billahi (nie ma mocy, nie ma siły, jeno w Bogu). Oh! najsprawiedliwszy, każ zdjąć głowę z karku nędznego sługi, twoja wola jest świętą; ale jeżeli na Sabach Namazy (na świtanie) weźmiesz Wiedeń, niech Mikael di Ana al-lady (Michał duszę moję) przeniesie do Dinet (raju), a jeżeli nieprawdę mówię, niech Segitari (zły duch) w moc mnie swą porwie.

Wezyr (*daje znak Kichai: dwóch Murzynów przystępuje do Kulczyckiego*). Janczarom!

Kulczycki. Bissmillachi-r rachmani-r rachim (w imię Boga miłosiernego, litościwego).

Wezyr (*daje znak: wyprowadzają Kulczyckiego*). To jest wierny sługa proroka. U nas nie ma zdrajców. Idź, przypatrz się torturze. A czém mu wynagrodzisz, chrześcijański panie, jeżeli torturę wytrzyma?

Tekeli. Powiem, że wart dobrego pana i ten, u którego służy, godzien mieć takie sługi.

Wez yr. Nie znasz wierności i poświęcenia prawych Mahometan, chrześcianinie. Na jedno moje skinienie, każdy pójdzie na śmierć, błogosławiąc proroka. Kichaja! wybierz sześciu Askerlaz i powiedz im, że życzeniem mojem jest, aby dobrowolnie umarli w oczach tego chrześciańskiego pana.

Kichaja. Ewet (tak się stanie). (*Odchodzi*).

Tekeli. To posłuszeństwo bezrozumnego zwierzęcia, a nie wolnego człowieka. (*Wchodzi Kichaja, za nim prowadzą Kulczyckiego*).

Kichaja. Wytrzymał i błogosławił prorokowi.

Kulczycki. Iszała-maszała (chwała Bogu).

Wez yr (*rzucając mu kieszę złota*). Masz.

Kulczycki. Tyś wspaniały i wielki Effendim, dobroć twoja nieprzebrana, jako morze, co okrąży proroka ziemię.

Tekeli. Masz i odemnie, a pokłoń się królowi polskiemu.

Kulczycki (*odrzucając kieszę*). Niech Allah przedwieczny zatra- ci nasienie niewiernych. (*Odchodzi*).

Tekeli. Jeżeli więcej takich ludzi mają Niemcy, nie dostaniesz Wiednia, Wez yrze.

Wez yr. Hajde siktir (pójdź precz). Żegnam was! Popatrzcie przez drogę, jak umierają moi wierni, a skoro świt, staniecie do szturm; inaczej wam biada! (*Tekeli odchodzi*).

SCENA 3.

Wez yr, później Synowie.

Wez yr (*do Kichai*). Wołaj baszów. Podłe plemię, łączy się z wrogami swój wiary na brata i oni rycerzami chrześciańskimi się mianują. Oh! Sobieski, ty jeden jesteś prawy i wielki! Jeżeli to prawda, jeżeliś ty uległ poszeptom tych gadzin przewrotnych... Nie wierzę. Wszak oni ci byli wrogami zawsze. Ten tron, któryś okupił chwałą oręza twego, wydrzcć ci chcieli, a ty... Nie... nieprawda! (*woła*) Osman! Ibrahim! (*wchodzi dwóch młodzieńców lat piętnastu*).

Osman i Ibrahim. Ojczel

Wez yr. Tu, u tych murów będzie jutro dla mnie szczyt chwały, o! dzieci moje. Imię waszego ojca zapisane będzie dyamentami w księdze proroka. Módlcie się do Allaha za ojcem: jutro zwyciężę— lub zginę.

Osman. Wszak ramię twoje, o ojczu, niezwyciężone.

Ibrahim. Tyś ulubionym sługą proroka i najwierniejszym Padyszacha. Chwała ci najwyższy! Pozwól nam zafarbować miecze nasze we krwi niewiernych.

Wez yr. Gdy zdobędziemy Wiedeń jutro, będziecie toczyć krew chrześciańską. Największe łupy wam się dostaną, o wy gwiazdy Ali-dyi, wam i matce waszej! Siadźcie przy mnie, będziecie obecni dywanowi. (*siadają przy ojcu, wchodzi: Basza Ibrahim, Basza Mohamed, Mirza,*

Mehmed Abdula, Basza Dumoal, Han Selim Geréj, Dowódzca Janczarów, Kichaja).

SCENA 4.

Ciż. — Baszowie: — Selim Geréj, — Dowódzca Janczarów, Kichaja.

Baszowie (z ukłonem głębokim; Ceremoniał): Salam alekim.

Wezyr. Alekim Salam.

Baszowie. Sawa la chajresen.

Wezyr. Sawała chajre.

Baszowie. Hosz gielidy.

Wezyr. Safal gielidy.

Wezyr. Zajmijcie miejsca wasze, wierni Padyszacha sładzy. I ty Hanie, Selim Gereju, zajmij twoje wysokie miejsce. Chwała Padyszachowi, którego imię niech brzmi po świecie sławą i światłością wiekiustą, od wschodu na zachód i od południa do północy.

Wszyscy. Anim! Anim! (Amen).

Wezyr, Nadeszła chwila, gdzie chorągiew święta proroka strąci w przepaście czarne Ismał nahý mukau senkide (piekła) fałszywego chrześcian Boga; gdzie niewierny ród giaurów podłych powlecze korne głowy przed półksiężycą potęgą. I oto pan nasz nad pany Padyszach, wielki władzca słońca i ziemi, dał w moje ręce, niegodnego ze sług swoich moc i siłę, dał całe zastępy wiernych swych dzieci, przysłał mi świętą chorągiew proroka i rzekł: Idź i zwyciężaj.

Wszyscy. Padyszach el hamid (godny uwielbienia).

Wezyr. I oto zaledwie stopy nasze Dunaju przeszły granice powiaś strach blady na niewiernych; cała ich potęga pierzchła, ich miasta, ich fortece otworzyły nam bramy. Napróžno dumny niegdys ich cesarz Leopold zebrał kornie łaski i miłosierdzia; wydano wyrok na ich zagładę i przybyliśmy tu, pod te mury, gdzie ich świętości, gdzie ich cała potęga, gdzie ich władzca, podpora przekłętego mnicha rzymskiego, i tu na tych murach, i tu na tych głowach niewiernych zbudujemy Allahowi święty przybytek wiary.

Wszyscy. Allah! Allah el aziz! (mocny).

Wezyr. Tam poza temi murami rozpacz, głód i strach czarnej śmierci panuje. Już połowa ich murów i wierzyc w gruzach leży, gdy jutro całą potęgą naszych piersi i mieczy uderzymy, wejdziemy w miasto przekłete i świętą chorągiew zatknjemy na zburzonym tronie niewiernych.

Wszyscy (z krzykiem): Ewala Mahomet! Śmierć psom chrześciańskim!

Wezyr. Napróžno ich kapłan rzymski zwołuje do pomocy, niewierni kochają tylko siebie, brat sprzeda brata, ojciec syna, matka córki, bo w piersiach giaurów ani cnót ani wiary. Nas Allach do zwy-

ciężstwa prowadzi jako wierne swe dzieci. Zwycięzym albo zginiemy wszyscy.

Wszyscy. Meded Allah! (zmiłuj się Boże).

Wezyr. Patrzenie! To chorągiew święta, godło władzy i łaski. Patrzenie (*wyddobywa jedwabny postronek*): to godło hańby i śmierci... i wiem go sobie na szyję i nie zdejmę aż w murach Wiednia.

Wszyscy (*z wściekłością*): Śmierć giaurom!

Wezyr. Jutro spadną na was łaski ze szczerzej skarbnicy Padyszacha. Błogosławieni wy i rody wasze aż do skończenia świata. Jutro dzień tryumfu. Ibrahimie, weźmiesz Stubenthor i będziesz mianowany Baszą Styryi.

Ibrahim. Twoja wola Effendim.

Wezyr. Mirzo Mohmedzie, weźmiesz Loevel-bastei i będziesz Baszą górnej Austryi.

Mirza. Kazałeś Effendim.

Wezyr. Baszo Dunwal weźmiesz Moelker-bastei, i Padyszach przyłączy dla ciebie baszostwo Siedmiogrodu.

Dunwal. Spełnię.

Wezyr. Każda brama to trzy buńczuki, każdy wyłom dwa buńczuki, każda cegła, buńczuk. Wierni Jańczary uderzą ze mną tam, gdzie cała potęga niewiernych na Burg-bastei, a ty przemożny nasz sprzymierzeńcze i hołdowniku, którego, oby Allah łaską swoją nagradzał, zastąpić będziesz nasz obóz przed Lotaryngskim księciem.

Han. Chwała Allahowi i Padyszacha potężnemu słudze. Czy sprawdzisz, Effendim, wieści o królu polskim?

Wezyr. Fałsz! Król polski w Warszawie, a tu garstka awanturników z Lubomirskim.

Han. Twoja prawda, Effendim, a jednak ja ośmielę się powiedzieć ci, że król w drodze i jeżeli tu przyjdzie, ja się z nim bić nie będę.

Wezyr. Przestań Haniel

Han. Nie będę się bić z Sobieskim, to ci przysięgam na świętą proroka brodę. Pod jego berłem siedzą rodziny nasze w świętej wierze Mahometa i dobrze im tam, a żaden z Mirzów słowa danego nie złamał.

Wezyr. I nie uderzysz w proch przed firmanem Padyszacha.

Han. Przed firmanem i przed potęgą jego zawsze. Cześć Sułtanowi! ale w firmanie twoim o Sobieskim mowy nie ma.

Wezyr. O! wy głowy puste i trwożne. Baszo Ibrahimie, masz u siebie renegata Wołocha, który umie mowę niewiernych, wyszłę go na zwiady.

Ibrahim. Twoja wola, Effendim (*daje znak służbie*).

Wezyr. Choćby tu wielki Iskender wstał z grobu, Wiedeń wezmę. Gdy będę jutro w murach jego, drwię z całej potęgi Sobieskiego... Ale nie!.. ja wierzę w jego rozum, tak, jak wierzę w bohaterką duszę jego... tu nie dla niego miejsce (*wchodzi Wołoch renegat*).

Wołoch. Upadam na twarz przed tobą, Effendim.

Wezyr. Idź i przynieś mi wieść o wojsku polskiem, które pod Wiednię ciągnie, jaka jego liczba i kto je prowadzi?

Wołoch. Kazałeś, Effendim.

Han. A gdy Króla napotka, co ma mu powiedzieć, Wezyrze.

Wezyr. Króla, Króla!. Spytasz go, po co tu idzie?

Han. I nic więcej, Wezyrze?

Wezyr. Powiesz mu niech się wróci, bo pan mój Padyszach potężny w osobie mojej Wezyra, Kara Mustafy, postrachu niewiernych, jutro w Wiedniu zasiądzie. Idź!

Wołoch. Twoja wola, o Effendim! *(odchodzi)*.

Han. Złą idziesz drogą, Wezyrze, nie chcesz gasić ognia, ale go podsycić pragniesz. Ty szydząc z króla Polskiego wyzywasz gniew jego. Dlaczego poseł wolnej Rzeczypospolitej w kajdanach u ciebie jęczy, wleczony za twojem wojskiem?

Wezyr. Aby był świadkiem tryumfu mego.

Han. Tego nie bywało dotąd w Wielkiej Porcie, wezyrze. Osoba posta szanowaną była po wszystkie czasy i czy przynosiła wyzyw srogi, czy oliwną gałązkę pokoju, głowa jego i wolność były święte.

Wezyr. Ten zuchwały pies giaurów, który nam przyniósł wieść o sprzysiężeniu, niech za obrozę prowadzony będzie za wojskiem, a potem niech ginie w Jedykułu podziemiach. *(Do służby)*. Sprowadźcie go! Jeżeli prawda, że Sobieski śpieszy pod Wiednię, każę jego przekłętą głową nabić działo i plunę nią na króla, albo na wysokiej szubienicy pokażę go całemu ich wojsku.

Han. Zemsta niegodna twój wielkości, wezyrze. *(Wchodzi Proski w kajdanach)*.

SCENA 5.

Ciż i Proski.

Kichaja. Zegnij się psie niewierny, stoisz przed wielkim wezyrem i całą radą Dywanu.

Proski. Ty się zginaj, podły niewolniku; jam wolny szlachcic wolnej Rzeczypospolitej naszej: jej poseł. Ja reprezentuję mój naród wielki, a wy, barbarzyńskie plemię, obciążacie moje ręce łańcuchem i wleczecie za sobą na wstyd i hańbę waszemu sułtanowi. Niechże po hańbienie moje srogą zapali zemstę w piersiach całego narodu i zionie w was zniszczeniem i śmiercią.

Kichaja. Zamilcz psie!

Proski. Czy wasi posłowie, po chocimskiej wiktoryi naszej, doznali zniewag? Czyśmy was zawsze po największych tryumfach naszych nie podejmowali po ludzku? a wy nad bezbronnym człowiekiem przemoc swą mściwą doświadczacie, przekłęci!

Kichaja. Milcz!

Wezyr. Niech mówi. Lubię patrzeć na bezsilne szamotanie się takiejuchy i słuchać tych wykrzyków junaczy. Mów nam tu prawdę. Czy twój król, zawierając przymierze z Niemcami, przyrzekł im swoją osobą dowodzić posiłkowem wojskiem?

Proski. Tego mi nie dano w instrukcyi, aby powiedzieć tobie; zaniósłem wam tylko wiadomość o przymierzu; ale jeżeli przyrzekł, to dotrzyma i stanie tu i całą potęgę twoją zdruzgoce.

Wezyr. Tyś głupi i twojego króla za głupca bierzesz. Potęga moja niezwykczona, a twój król raczej żebrać od nas będzie Kamieńca i Podola, aniżeli w bezowocnej walce stawiać na kartę całe swe siły. Popatrz na niezliczone wojska nasze.

Proski. Mierzysz nas swoim łokciem, niezdolny pojąć całego bohaterstwa i ofiary naszego wielkiego narodu. Wiédz więc, pogani- nie, że tam, gdzie świętej wierze naszej grozi nawała pogańskiej hor- dy, wówczas cały naród, jak jeden mąż, za miecz chwyta i pod wodzą swojego króla idzie walczyć na śmierć i życie. Jeden okrzyk wybuchu towarzyszy tym rycerzom: Za wiarę naszą! za krzyż Chrystusów! i rzu- cają mienie swoje, żony, córki i starców, bo im świeci w ich drodze Od- kupienia godło, bo umierając za to godło, czeka ich w przyszłym ży- ciu szczęście wiekuiste, a u potomnych sława niespożyta, która w po- kolenia późne rozbrzmiewa. I za to wszystko nie wartoż doczesnych interesów poświęcić? Tak, mój król obroni Chrześcianaństwo, a potęga półkiszycza padnie u stóp bohatera.

Wszyscy. O! Allah, Allah, co on mówi?

Mirza. Zadusić go!

Ibrahim. Na pal!

Kichaja. Ćwiertować!

Wezyr. Milczcie! Czyż byłoby to rozsądnie pozbawić go ży- cia w tej chwili? To szalenie opętany. On wierzy w widmo krwawe swojego Boga; uleczyć raczej tego biednego giaura, a uleczyć go trzeba prawdy nagię widziałem. Gdy jutro szturmem Wiedeń weźmiemy, każę go w ich kościele, wobec jego Boga, żywcem na wolnym ogniu upiec i twoim Tatarom, Gereju, dać na pożarcie.

Proski. Ha! ha! ha! ha! Tak cię zabolęła święta prawda, okrutniku. Gdym tu szedł, widziałem ze zgrozę, jak kilku ludzi leża- ło we krwi własnej, poderznawszy sobie żyły dla twojej tylko fantazyi. Umierali, wyjąc pieśń nabożną i błogosławiąc ciebie. I my umierać umiemy, ale umierać dla chwały nieśmiertelnej. Pal mnie żywcem, drzyj pasy, łam stawy moje, a ja z wzrokiem wzniesionym do mego Zbawcy wołać będę: Śmierć niewiernym! Tryumf Krzyżowi Chrystusa!

Wezyr. Precz z nim! (*Odprowadzają Proskiego*).

Wezyr (*po krótkim milczeniu*). Jutro, gdy jutrzienka Sabah Na- mazy nam obwieści i usłyszymy święty śpiew Muzina, znajdziemy się u bram Wiednia. Pozdrawiam was, wierni Padyszacha słudzy i pra- we proroka dzieci. Niechaj wam w snach waszych Dinet (raj) rozta-

cza roskoszy zdroje i niech Aoch ululach (Dobry duch) z opieki was nie wypuszcza, Anim!

Wszyscy (z głębokim ukłonem). Anim! Anim! (Ochodzą).

Wezyr. Kichajo! Zaprowadź syny moje do Muftego Ansura, niech w Koranu boskiej księdze zaczerpną światła i niech się z nim modlą za zwycięstwo Padyszacha. Idźcie, najśodsze gołąbki moje, niech Allah umila rozkoszne dni wiosny waszej.

Synowie. Całujemy twe nogi! (Ochodzą).

Wezyr (woła). Mufty Hadżadzi! (Wchodzi Mufty).

SCENA 6.

Wezyr.—Mufty.

Mufty. Co rozkażesz, synu światłości?

Wezyr. Przygotowałeś horoskop?

Mufty. Jest, o posłańcze niebieski! (dobywa papier).

Wezyr. Jakiż mi wróg zagraża?

Mufty. Nie groźny Kaleb, ani Jusuf srogi,
Póki miecz nagi Ali trzyma w dłoni.

Któż tobie może zagrażać, tarczo Islamu. Patrz, oto święta gwiazda, co nad Turanu świeci krainą, tu ona za nami przyszła, by z północnemi jej siostrzycami stoczyć bój i zaćmić je blaskiem swego światła. Oto groźny Pan wiatrów i zarazy cofnął się przed jej wspinałem obliczem, a rozkaż tylko, wnet on przyjdzie w usługi twoje i zniszczy potęgę giaurów.

Wezyr. Czy jutrzejszy dzień nie grozi nam w niczym?

Mufty. Jutrzejszy dzień, piętnasty po Bibek-bayram, jest dniem zwycięstwa Solimana, jest dniem najpiękniejszym w dziejach Islamu. Niech będą dzięki Allahowi, żeś ten dzień obrał, Effendim.

I stał się pogrom w krainie niewiernych,
Bo w dniu pamiątki zwycięstw Solimana
Bajazet zatknął chorągiew proroka.

Bądź wesołej myśli, o Effendim, niech wszystkie twoje troski Ferristellex (anioł) na skrzydłach swoich uniesie, bo jutro zwyciężysz wroga.

Wezyr. Jednakże ja się trwożę, ojcze. Jutro Wiedcń wzięć muszę; ale mnie przybycie króla polskiego niepokoi. Czyżby on tu śmiał przybyć i stanąć do boju z potęgą wojsk naszych? Co mówisz o tém, Mufty?

Mufty (patetycznie jak wszystko):

Nasyr Bilgerem chcąc doświadczyć mocy
Wielkiego Ali, ruszył całą siłą,
Ale go tchnienie Allaha zabiło.

Wezyr. Słuchaj, gdy tu Król Polski z wojskiem stanie, czy masz moc użyć czarów i burzą zionąć na niego?

Mufty. Mam. Dzeraret, Kiafir (widma) i wszystkie Diwy (złe duchy) staną mi do pomocy.

Wezyr. Na Axam Namazy zbierzem się na modlitwę.

Mufty. Meded Allah! (zmiłuj się Boże). (*Ochodzi*).

SCENA 7.

Wezyr (*sam*). Czemuż to widmo przeklęte na oczach mi ciągle stoi? Czemuż ta postać z pod Chocima spać mi nie daje? Widzę go wszędzie. Czy w meczecie, czy w czasie uczy, czy w bitwy nawet wrzawie tu pod murami Wiednia. Znam ich wszystkich i pogardzam niemi z całej duszy, ten jeden jest którego się lękam, ten jeden jest, któregobym nie chciał spotkać na mój drodze. Ten jeden, jedyny, który część i postrach budzi we mnie. I czemu on nie z nami? Czemu nie z nami? Niedołężny Mahomecie, nie umiałeś pozyskać tego Króla, odrzuciłeś moje rady... A dziś on... (*po chwili z rezygnacją*). Ha! Wiedeń wezmę a potem nrągać mu będę (*woła*). Rzezańcy! (*Wbiega dwóch murzynów*). Harem! (*Wchodzą niewolnice, między niemi Zelia, Jaryna, Prakseida, Kamieniecka*). Wezyr przechodząc przygląda się z nich każdej, nagle, jak gdyby jaką myślą uderzony, rzuca chustkę na Kamieniecką, co jest znakiem, że ją wybrał. Murzyni rzezańcy wyprowadzają wszystkie, prócz Kamienieckiej).

SCENA 8.

Wezyr.—Kamieniecka.

Kamieniecka. Pokorna sługa wasza.

Wezyr (*patrzy w nią chwilę, jakby ją badał*). Sali! pamiętasz ten dzień, kiedym cię wyrwał z objęć twój stariej matki w Kamieńcu? Kiedy na prośbę twoją darowałem ją życiem, a ciebie wywyższyłem ponad wszystkie gwiazdy mego haremu i udarowałem łaską mojego przywiązania. Zazdrościły ci wszystkie, boś była perłą między niemi. Nazwałem cię i kazałem nazywać przez wszystkich Kamieniecką, na pamiątkę mój chwały i na zaszczyt dla ciebie. Pozwoliłem ci ubierać się obyczajem waszym a nawet modlić się do twego proroka.

Kamieniecka. Tak, i dzięki wam za to zawsze składam.

Wezyr. Byłem dla ciebie dobrym panem zawsze, i dziś, pomimo, żeś przeżyła pierwszjej młodości wiosnę, pomimo, że na skinienie moje mam najpiękniejsze pączki kwiatów w całej pełni i świeżości, ja zawsze miłą patrzę na ciebie i lubuję się obrazem twoim.

Kamieniecka. Łaska wasza.

Wezyr. Słuchaj, chcesz zająć na mym dworze miejsce, jakiego jeszcze żadna nie miała przed tobą? chcesz oddać usługi Wysokiej Porcie?

Kamieniecka. Ja?

Wezyr. Sali, chcesz dla mnie być tém, czém Roksolana była dla Solimana?

Kamieniecka. Nie rozumiem cię, Effendim?

Wezyr. Zrozumiesz zaraz. Król polski chce przybyć na odsiecz Wiednia.

Kamieniecka. Król?

Wezyr. Tak; jest tyle głupi, że idzie na pomoc Niemcom, odwiecznym wrogom swoim.

Kamieniecka. Król chce ratować Wiedeń a przeto i Chrześcijaństwo całe.

Wezyr. Ale ja nie chcę, żeby tu przyszedł, choć lękam go się tyle ile każdego z nędznych gjaurów, chcę być jednak przyjacielem jego. (*Biorąc ją za rękę i sadzając obok siebie*). Słuchaj Sali, bądź ty pośredniczką między mną a nim; napisz do niego listy od siebie, twój ród daje ci do tego prawo; zaklnij się na swego proroka; wszak on ci uwierzy, że działasz z rozkazu mego; niech opuści Niemców a ja mu Kamieniec wrócę. Słyszysz Sali i nie padasz do nóg moich? Kamieniec, kolebkę twego dzieciństwa. Ten Kamieniec, o który rozbija się potęga jego, oddam mu. Siadaj i pisz; od dziś jesteś wybraną moją kadyn (żoną).

Kamieniecka. Ja takich listów nie napiszę, Wezyrze.

Wezyr. Dlaczego?

Kamieniecka. Bo listy takie Sobieski nogami zdepcze, bo listy takie rumieniec oburzenia wywołają na lica jego.

Wezyr. Dziecko jesteś; a wieleżto razy w haremie rozstrzygały się wasze sprawy?

Kamieniecka. Ale nie takie. Sobieski jeżeli przyrzekł obronić Niemców, obroni ich.

Wezyr. Zkąd wiesz o tém?

Kamieniecka. Zkąd wiem? bo Sobieski jest najdzielniejszym z chrześcijańskich króli, bo Sobieski nie frymarczy wiarą jak inni monarchowie, ale jest jój obrońcą i dla tej wiary gotów mienie i życie poświęcić; takim jak Sobieski jest cały naród polski i ty chcesz, żebym ja, prawa jego córka odwodziła go od tego? Ty chcesz, abym ja kosztem miłości dla méj ojczyzny, pomagała twoim szatańskim planom—nigdy! (*Po chwili spokojnie*). Daruj mi effendim, jeżeli się woli twojej oprzeć śmiała.

Wezyr (*patrzy na nią, jakby niedowierzał, nareszcie wybucha*). Segitari i piekło całe niech cię pochłonie, nędzna! Więc tu w haremu mego ścianach zdrada się skrywa. Niech przeklętą będzie każda godzina, każda chwila łaski mojej dla ciebie; tu, do nóg moich, podła!

Kamieniecka. Do nóg twoich nie padnę, Wezyrze, bo ja tylko przed Bogiem moim klękam. Ha! zbladłeś potężny panie przed śmiałym słowem niewiasty? Strach ci tego Króla Polskiego. Tak, on przyjdzie tu... przyjdzie i skruszy potęgę twoję.

Wez yr (z wściekłością). Ha!... (Po chwili oprzytomniawszy) Tak mówisz, gadzino, którąm wygrzewał na łonie mojem. Jeżeliby się stało, co niech Allah usztrzeże, żebym był zmuszony cofnąć się przed nim, to ty pierwsza padniesz pod moim kindżalem.

Kamieniecka. Oh! błogosławiona będzie to chwila. Widziéć mego Króla a potem umrzeć z twojej ręki. Widziéć jak twoje hufce uciekają przed jego mieczem. Słyszéć okrzyki ich zwycięstwa. (Padła na kolana). Boże! zeszlj mi taką chwilę, a wszystkie cierpienia w tysiąckroć nagrodzone mi zostaną. I tyś sądził, że moje serce w haremie ohydnych ścianach przestało tęsknić za ziemią moją, i tyś myślał, że ta krew, co w żyłach moich tętni, nie ozwie się na wieść o zbliżającym się hufcu rycerzy chrześciańskich, który was zgniecie?

Wez yr. Pierwszy raz odkryłaś mi duszę twoją, gadzino. Ty oddechem nieczystym cały mój harem zarazasz. Skończona z tobą rzecz, na dnie Dunaju śmierć znajdziesz.

Kamieniecka. Dzięki ci. Nie pragnij nigdy badać głębi uczuć niewolnika twego; masz jego ciało; ale w duszę nie zagląдай, bo tam zobaczysz tylko jadu i piekła otchłanie.

Wez yr (w straszném poruszeniu wściekłości, po chwili wstrzymuje się). Sali! jam ciebie lubił zawsze i ciężko mi będzie rozstać się z tobą. Słuchaj, twój ojciec żyje jeszcze.

Kamieniecka. Mój ojciec?

Wez yr. A matka także; miałem o tém wiadomość nim ruszyłem na wyprawę, zabił mi Mirzę Agę, a od dziesięciu lat kołaczą do Dywanu, ofiarując wysoki okup za ciebie.

Kamieniecka. O! moja matko!

Wez yr. Czy chcesz za cenę wolności spełnić to czego żądam? Czy chcesz powrócić na łono rodziny twojej? Słuchaj, wbrew prawom proroka spełnię to, przysięgam na Allaha!

Kamieniecka. Ja nie mam już ojca, ani on córki; nie mam matki. Mogłeś sobie przypomnieć o nich wtenczas, nimesz mnie shańbił, Wez yrze. Dziśby oni odepchnęli mnie od siebie, a ja nie powazyłabym się do nich zbliżyć.

Wez yr. Te gjaury w szaleństwo mnie dziś wprawiają. Podła! tak odpłacasz dobrodziejstwa moje?

Kamieniecka. Dobrodziejstwa twoje nie zrównoważą mój hauby; twoje dobrodziejstwa nie wrócą mi moich braci i oblubieńca mego, którzy padli pod twym zbójeckim mieczem; wróc mi to wszystko, a wtenczas ja padnę do nóg twoich i błogosławić cię będę.

Wez yr. Głupia niewiasto, to wojny prawo wiekuiste, które do końca świata trwać będzie.

Kamieniecka. Wojny! Więc niech świat ten zaginie, jeżeli dalej takiem kołem toczyć się będzie. Oh! ale nie! Wojny będą, gdzie mąż z mężem walczyć będą, ale słabi i niewiasty poszanowani będą i to nastąpi wtenczas, gdy krzyż Chrystusów na Mahometa meczetach błysnie.

Wezyr (z wściekłością). Hej! rzezańcy! Udusić i rzucić do Dunaju! (*Słychać wystrzał armatni*). Co to jest? (*Wpada han Gerej*).

Han. To Król Polski z swoim wojskiem stanął na Kahlenbergu górach.

Wezyr. Na Kahlenbergu górach? (*Drugi wystrzał blisko*).

Han. A to Wiedeń obłożony go pozdrawia.

Wezyr. Już?

Han. Ten mniemany nasz wierny, któregoś wypuścił z rąk twoich, zaniósł mu wieść od wiedeńczyków.

Wezyr. O! Allah!

Han. A oto twój wysłannik wraca. (*Wołoch wchodzi*).

Wezyr. Coś widział?

Wołoch. Króla Polskiego.

Wezyr. Gdzie?

Wołoch. Na Kahlenbergu.

Wezyr. Co ci powiedział? (*Wołoch się waha*). Mów mi, psie, mów wszystko.

Wołoch. Każesz Effendim. Powiedział Król Polski, że w niedzielę na śniadanie do obozu tureckiego pospieszy.

Wezyr (*do służby*). Na pa!

Wołoch. Bądź przeklęty! (*Służba go odprowadza*).

Kichaja. Jakie rozkazy na jutro wydasz Effendim!

Wezyr. Do szturm! O! Królu, jakąż krzywdę wyrządzasz panu memu. Do szturm! Niech tu zastęp Szejtanów stanie, jutro będziemy w Wiedniu.

Głos Muezina. La illa he, ill Allah Mahomed resul ullah. (Jeden Bóg i Mahomet jego prorok). (*Wszyscy padają na kolana*).



AKT II.

Na Kahlenbergu.—Górzysta okolica zasiana namiotami obozu polskiego. Po między namiotami wija się ścieżki, które prowadzą aż na wierzchołek, w głębi sceny tak, że wszystkie osoby, które wchodzi do obozu, ukazują się wpród na górze i schodzą na scenę. Na wszystkich kulisach z prawej i z lewej, namalowane namioty, licząc od pierwszego planu aż do ostatniego co raz wyżej. Na lewo, na samym przodzie sceny, namiot królewski; za namiotem królewskim, na wzgórk, namiot towarzyszy pancernych, chorągwi królewicza Aleksandra. Na prawo namiot Miecznika na wzgórk, równającemu się namiotowi pierwszemu, z lewej poza namiotem Króla. W samej głębi na prawo wzgórek, z którego widok na oblężony Wiedeń, i z poza którego światło wschodzącego słońca przebija. Na samym przodzie sceny, na prawo, plac wolny, na nim stoją armaty, wycelowane za kulisy z prawej, przy armatach dwóch hajduków z lontami. Przed każdym prawie namiotem straż. Zmrok poranku, stopniowo zaczyna się rozwidniać, aż przy końcu aktu wschodzące słońce z za góry w głębi oświeca całą scenę.

SCENA 1.

Miecznik przed swoim namiotem ogląda szablę — pacholek wkłada nań zbroję. Stanisław zajęty czyszczeniem ryngrafu. Diakowski przed namiotem królewskim z zwitkiem papieru i piórem w rękę. Towarzysze Rączkowski, Rubinkowski w namiotach i za kulisami.

Miecznik (*śpiewa*): W owym pięknym ogródeczku,
Moja śliczna Marysiecuku,
Kiedyś wianek wiła
Teś słowa mówiła.

(*mówi*): Sprzączka dobrze się trzyma?

Pacholek. Ale jak.

Miecznik. A popraw mi tu dobrze koło pasa. Stasiu! na dziś pożyczę ci demeszki, sam Batorówkę wezmę.

(*śpiewa*) Ach! mój wianeczku różany,

Rączkowski (*z namiotu 1-go kończąc*) Lilijami przewijany.

Miecznik. Aha! i waść już na nogach: to lubię.

(*śpiewa*) Otoczysz mi kołem
Nad mém wdzięczném czołem.

Rubinkowski (*z namiotu 2-go*)

Jużem cię ostatni wiła,
Pókim jeszcze panną była;
Teraz za mąż idę,
Ale jutro przyjdę.

Miecznik. A nie przekręcaj aś piosenki: — Więcej tu nie przyjdę! mówi się.

Rubinkowski (*z namiotu 2-go*) Jam się spodziewał usłyszeć od Jegomości godzinek, a tu światowa piosneczka.

Miecznik. Godzinki i litania do Najświętszej Panny już odśpiewane, mój Mosamdzieju, a dla myśli wesołej nie zawadzi pobaraszkować.

Rączkowski (*z namiotu 1-go*) Baczość! znowu się jakaś niemiecka peruka wlecze.

Głos z za kulis. Panowie bracia, listy z Polski!

Rubinkowki (*z namiotu 2-go*) A może się tam dla mnie co znajdzie?

Stanisław. Będzie od matki pewnie.

Diakowski. Cóżto za dziwne wojsko wlecze się tym wozem?

Rubinkowski (*z namiotu 2-go*) To Kroaty, najbitniejszy naród w całej armii cesarskiej.

Diakowski (*zapisując*) Kroaty, patrzaj aś—nie wiedziałem, jako żywo.

Rubinkowski (*z namiotu 2-go*) A wiész waśc ile téż nas będzie razem z tym obcym narodem na pogana?

Diakowski. Jam rachował do osiemdziesięciu tysięcy.

Miecznik. Dziewięćdziesiąt tysięcy. Jeżeli waśc masz tak rzetelnie dyaryusz prowadzić, to lepiej rzucić.

Rubinkowski (*z namiotu 2-go*). Mówią, że Król jegomość jakoś nie bardzo miłe wieści otrzymał od Marysienki.

Miecznik. Trapi go baba.

Stanisław. Wszystko się to na bisurmanach skrupi. (*Wchodzi Podskarbi, Elektor saski, z nim dwóch panów*).

Diakowski. Już goście zaczynają do nas się schodzić.

SCENA 2.

Ciż.—Podskarbi.—Elektor saski.—Panowie. (*Dwóch towarzyszy przyłączają się do Miecznika i Stanisława, podczas gdy Elektor saski z podskarbim wchodzi na scenę*).

Elektor saski. Panowie Polacy, jestem przejęty dla was najwyższém uwielbieniem. Jakaż tu cnota, jaka karność i porządek pa-

nuje w obozie waszym. Czy dziś jest święto, że wszyscy w godowym stroju występujecie?

Podskarbi. Taki u nas obyczaj, Wasza Miłość; do bitwy jak do kościoła idziemy.

Elektor saski. Życie wasze wydaje mi się jakby świętym zakonem.

Podskarbi. Bo téż nim jest, Mości Królu. My od dziecka stajemy na straży Wiary świętej, a bój z niewiernymi zaleca każdy ojciec, każda matka synowi. To jest dla nas jedenastém z przykazań Bożych.

Elektor saski. Nie dziwię się teraz waszój ofierze. Starożytne to cnoty. W dzisiejszym zepsutym świecie jakże już trudno spotkać się z niemi. A wasz Król... Europa równego nie ma monarchy. Wstałem rano, aby go nawiedzić w namiocie; jeszcze jutrzienka nie zrumieniła nieba, on już czynny.

Podskarbi. Jego Królewska Mość od godziny już obchodzi obóz, a w myśli układa plan bitwy.

Elektor saski. Daremniebym go szukał po obozie; tu się zatrzymam, aby mu cześć złożyć.

Podskarbi. Racz Wasza Królewska Mość wejść do namiotu.

Elektor saski. Lepiej mi pod niebem. *(Diakowski zbliżył się do grupy rozmawiających z Miecznikiem, podczas gdy ten wraz z Stanisławem patrzy za kulisy zachwycony i żywo rozmawia z synem).*

Diakowski. Kto jest ten Niemiec? wygląda jakgdyby olejka-mi handlował.

Rubinkowski *(z namiotu 2-go)*. To Jego Królewska Mość Elektor saski.

Diakowski. Tfu! Toż u nas szewc się lepiej ubiera.

Rubinkowski *(z namiotu 2-go)*. Masz i drugiego, ale ten bu-tniejszy. *(Wchodzi Elektor bawarski, poprzedzony dwoma paziemi).*

SCENA 3.

Ciż.—Elektor bawarski.—Paziowie.

Elektor saski. Otóż Jego Królewska Mość, Elektor bawarski.

Elektor bawarski. Witam Jego Królewską Mość. Witam was, panowie.

Podskarbi. Słudzy Waszój Królewskiej Mości.

Elektor bawarski. Myśleliśmy, że staniemy tu pierwsi w namiocie naszego brata i sprzymierzeńca, Króla Polskiego, tymczasem W. Kr. Mość już nas uprzedził.

Elektor saski. Tak, ale nasz bohater uprzedził wszystkich, bo podczas, kiedyśmy jeszcze obadwaj na miękkiej spoczywali pościeli, on już od godziny obchodzi swój obóz i wydaje rozkazy.

Elektor bawarski. Ja stawiam się po rycerski parol. Dzień się zapowiada prześlicznie. Wiatr, który dął tak przeraźliwie

wczoraj od tureckiego obozu, przycichł, jakby mu bożek wojny, nasz Mars polski, umilknąć kazał.

Elektor saski. Tylko głód nam dokucza. Moi żołnierze tacy wygłodzeni i lekcy, że z Kahlenbergu prosto w obóz turecki skakać będą.

Podskarbi. I u nas od dwunastu godzin nic nie powstało w żółdku, a przysłowie nasze powiada: Kiedy Polak głodny, to i wilka się chwyci. Ergo, że w nim więcej pasyi, jak w wilku. Nie będziemy tedy Turków oszczędzać.

Diakowski. Czy ten tłusty przyszedł nas na śniadanie prosić?

Rubinkowski (z namiotu 2-go). Śniadania już dziś chyba nie będziemy jedli, może dopiero wieczrę w tureckim obozie, jak przepowiadał Król Jegomość.

Diakowski. A niechby już prędko się stało, bo powiadam aści, żebym ich żywcem kąsał.

Rubinkowski (z namiotu 2-go). Patrzcie bracia na Miecznika, ten widok trzydzieści lat mu zdjął z barków. (Coraz więcej Towarzyszy pancernych przybywa i grupują się przy Mieczniku).

Rączkowski (pancerny). Zdaje się, rośnie nam w oczach.

Miecznik. Boże wielki! czémże zasłużyłem na tyle dobrodziejstw Twoich? dałeś mi dożyć takiej chwili, na którą wieki czekać muszą, a jeszcze podobnej nie ujrzą. Jakże żałuję tych, co tego widzieć nie mogą. Patrz, Stasiu. Patrzcie panowie bracia; żebyście się poraz drugi rozdźili, już nic podobnego w życiu nie zobaczycie. Wschodzące słońce oświeciło cały obóz. Patrzcie, jak złoci szczyty ich namiotów; a tam na lewo czy widzicie ten purpurowy? To namiot wielkiego wezyra. Powiewa na nim święta chorągiew Mahometa, znak najwyższej ich godności—to tak, jakgdyby sam sułtan był w namiocie. Pamiętam jeszcze pierwszą chocimską, ale tam nie było ich tyle. Jaki to tam ruch i wrzawa. Tak, cała potęga półksiężycy tu nadpłynęła. To miasto większe od Wiednia.

Rubinkowski (z namiotu 2-go). Musicie mieć wzrok dobry, panie Mieczniku?

Miecznik. Bo ja sześćdziesiąt lat patrzę na to. Chcecie, to wam powiem, gdzie jakie wojsko, gdzie jakie ich dostojęństwo. (Do Diakowskiego). Uważaj panie pisarzu dyaryusza. Ot, te namioty zielone, to namioty baszów. Ta czerwona cizba małych namiotów, to Janczary, najwierniejsi słudzy Padyszacha i psy najzaciętsi. Tu na prawo ta wielbłądów grómadą, to karawana kupiecka, która je w żywność opatruje; ptasiego mléka tam dostaniesz. A widzicie Muezina na tym najwyższym szczycie jakiegoś domu: ja go słyszę prawie. Oj, znam ja ten śpiew złowrogi. Sześć lat przesiedziałem w jasyrze.

Elektor saski. Kto jest ten starzec?

Podskarbi. To Miecznik kowelski. Walczył w trzydziestu bitwach. Czterech synów zabili mu poganie, a dwie córki uwieźli w jasyr.

Elektor saski. To rzymski patrycyusz.

Podskarbi. Miłościwy Mieczniku! Ich Królewskie Moście, Elektor saski i Elektor bawarski, poznaćby cię pragnęli. (*Miecznik wchodzi na scenę, za nim tłum Towarzyszy husarskich, Diakowski, Stanisław.*)

Miecznik. Ściele się do stóp majestatów pańskich; ot, jestem szlachcic polski. Służę ojczyźnie całym sercem i duszą, a to, co o mnie powiedział pan Podskarbi, jest tylko jego łaskawości dla mnie oznaką.

Elektor saski. Miło mi uczyć w was chrześcijańskiego rycerza. Wasze doświadczenie i znajomość pogańskich obyczajów niejedną tu nam wskazówkę udziela.

Miecznik. Gdy nas Król Jan prowadzi, niczyje rozumy nie potrzebne. Pamiętam Żółkiewskiego, Chodkiewicza. Był Koniecpolski, Rewera Potocki, był Lubomirski, był nieśmiertelnej sławy Czarniecki Stefan; ale tak szczęśliwego bohatera jeszcze Polska nie miała. Ja, ot stary wyga, com więcej zmiotł łbów tatarskich niż niejednego pana, bo raczcie tylko spojrzeć Wasze Moście królewskie na ten tu obóz na dole. Głupi bisurman dumny w swe siły szturmuję do bram Wiednia, a obozu ani okopał, ani zabezpieczył się przed odsieczą. Wleziemy w te kupy i rąbać będziemy na kapustę. (*Okrzyk za sceną „Vivat Rex!” wszyscy się rozstępują z równym okrzykiem;—wchodzi: Król Jan w ubiorze, jak go Kochowski opisał: kontusz sukieny niebieski, żupan biały jedwabny; królewicz Jakób ubrany z niemiecka w szyszaku na głowie i zbroi: książę Lotaryński ubrany niepokaźnie; Kulczycki, Panowie; za Królem chodzą z chorągwią Orła białego.*)

SCENA 4.

Ciż.—Król Jan.—Królewicz.—Książę Lotaryński.—Kulczycki.—Panowie.

Król Jan. Witam najjaśniejszych gości! Przebaczcie królewskie moście, nie przyjmuję was jak nam regulamin etykiety każe. Musiałem wcześniej wyjść z namiotu, by cały plan poprzednio ułożonej bitwy zmienić kompletnie. Oszukano nas—nie powiedziano o tém, co stanowi największą przeszkodę. Spadek góry nie jest tak równy jak nas zapewniano; najeżony on pagórkami i rozpadlinami głębokimi; pokryty gęstym lasem; tu byśmy stracili najprzedniejszą husaryą naszą. Obszedłem góry i znalazłem już inne miejsce zkąd przypuścimy atak.

Elektor saski. Jesteśmy na rozkazy WKMości.

Elektor bawarski. Rozrządzaj nami podług woli. Męstwem naszym i ochotą nagrodzimy tę krzywdę.

Król Jan. Tać téż wasza gorliwość i ochota, najjaśniejsi moi sprzymierzeńcy, takie piękne nadzieje mi wróżą. Jego ks. m. książę Lotaryngski zawstydza mnie znów poświęceniem swoim bez granic, gdy chce pełnić u mnie służbę mojego giermka.

Ks. Lotaryngski. Nietylko chcę, ale błagam WKMość najpokorniej o ten zaszczyt.

Król Jan. Umiem głęboko ocenić tę szlachetność waszą, znakomici moi sprzymierzeńcy. Da Bóg Najwyższy, za łaską Najświętszej Panny i waszą pomocą że ocalimy Wiedeń, a czasu mamy mało, bo oto JMPan stolnikowicz Kulczycki, przebrany w strój bisurmana, przynosi nam straszliwe wieści z oblężonego miasta. Graf Starhemberg raniony mocno; cała nadzieja wiedeńczyków, cała ich ufność. Żywności już im brakło a bisurman coraz straszniejszy szturm przypuszcza i niech Bóg uchwya, aby się miał wedrzeć do miasta. Tu znów tym listem JCMość przeprasza, że do nas przybyć nie może, bo jego małżonka niedomaga. *(Do Kulczyckiego):* Jedźże, dzielny partyzancie, i zanieś tym nieszczęśliwym nasze słowa otuchy. Wielcy moi goście i wy panowie! Przedstawiam wam człowieka, który cześć i podziw w każdym obudzić musi. Jegomość pan Kulczycki jest prawdziwą opatrnością oblężonego Wiednia. Przebrany w strój turecki, włada wybornie ich językiem, zna religią Mahometa i uchodzi za prawowiernego Turka; ztąd wie o każdym kroku niewiernych i donosi o wszystkim oblężonym. Choć niezawsze szczęśliwie wychodzi z tych ekspedycyi, bo oto wczoraj torturowano go okrutnie, przez co biedak dłużej wypoczywać musiał.

Kulczycki. To Tekeli tak mi się przysłużył. Poznał mnie, alem przecie wytrzymał. Trochę mi stawów powyciągano, ale to więcéj jeszcze ich utwierdziło o mojej prawowierności.

Król Jan. Żegnam aś, panie stolnikowiczu. Bądź przekonany o moim afekcie i niezmiennéj zyczliwości. Piękną kartę aś sobie zapisałés u potomnych.

Kulczycki. Sługa WKMości. Da Bóg, w Wiedniu pierwszy się rzucę do stóp pańskich.

Król Jan. Proszę moich najjaśniejszych gości do namiotu na consilium belli. *(Odchodzi: Król Jan, Elektorowie, Ks. Lotaryngski, Królewicz, Panowie. Coraz więcéj towarzyszy przybywa i otaczają ciekawie Kulczyckiego).*

SCENA 5.

Kulczycki.—Miecznik.—Stanisław.—Diakowski.—Towarzysze.

Miecznik. Mój mości Kulczycki, chodźże aś między nasze kompanią. Z którychże stron Rzeczypospolitéj aś pochodzi?

Diakowski. Czy nie z Podlasia? Znałem tam dwóch tego imienia.

Kulczycki. Z Samborskiej ziemi idą Kulczyccy. Wieś Kulczyce nigdy nasze dziedzictwo. Pieczętujemy się Rogalą. Ojciec mój zginął pod Beresteczkiem, jam się dostał do niewoli w chocimskiej, gdzie sześć ciężkich lat przemęczył, ale mi to wyszło na dobre; nauczyłem się ich języka i mówię jak rodowity Turek. Koran i całe praktyki Mahometa znam na palcach i oto dostałem się do tego miłego Wiednia, gdzie mi dobrze jak w raju.

Diakowski. Daj go katu, cożes tam aś takiego znalazł, bo i nam ślinka idzie.

Miecznik. Amor-ci to chyba tak cię tam przykuł łańcuchem, mości Kulczycki.

Diakowski. A gładkie są te niemkinie?

Kulczycki. Zgadliście w części, panie Mieczniku, jest i amor ale jest i miłość wielka dla tych poczciwych ludzi, którzy ot mnie, biedną hołotę, wracającego z niewoli przytulili jak syna. Wracać nie miałem już po co do ojczyzny. Wieś naszą Tatar spalił, matka umarła, brat zginął pod Lwowem, szwagier i siostra w jasyrze. Zostałem tu i ot gardło moje na hazard dla nich niosę.

Miecznik. Chwali się to i tobie i tym, dla których tak służyć warto.

Diakowski. Ta, bo to nie wszyscy Niemcy jednacy.

Rączkowski. To nie brandeburczyki.

Kulczycki. W całym mieście nie nazywają mnie inaczej jak Bruder-Herz, co w mowie ich Serdeczny Brat znaczy. Za zasługi, jakim dla nich położył, będąc tłumaczem przy poselstwie tureckim, kupili dom i oddali mi na własność, a ja, aby odwdziżyć ich dobre serce a przytém rzemiosło jakieś praktykować, bo tam każdy człek średniego stanu robić coś musi, sporządzam dla nich trunek, com go się w Turcyi pić i robić nauczył a który się zowie Café, mój zaś dom od owego trunku zowią Cafe-Haus, coby po polsku powiedzieć można: Kafiarnia!

Stanisław. A nie dałbyś nam skosztować tego specyału?

Diakowski. Widziałem ja ten trunek u księcia Zbarażskiego: czarny jak smoła, ale ma być smaczny okrutnie.

Kulczycki. Wszystkich panów braci, jak stoicie, mam honor prosić uprzejmie na moję Café. Wiem że w niej smakować będziecie. Do tego fajka dobrego tureckiego tytoniu a obaczycie się w raju Mahometa.

Diakowski. Tylko że wprzód Wiedeń zdobyć potrzeba.

Kulczycki. Zdobędziecie w Imię Boże! A niech żadnego z was nie zabraknie, bobym mu pozew do Pana Boga posłał.

Miecznik. Dzielnys człowiek, mospanie Kulczycki; będziemy u waści na onęj Café, ale ja choć stary, lubię jeszcze i na Amora popatrzyć, więc wymawiam sobie aby Café piękne rączki mi podały.

Kulczycki. Uszczęśliwiasz sługę swego, Mieczniku dobrodzieju. Miły Boże, i ot między wami jużem o wszystkiém zapomniał. Toć

jest jedno co mnie w tym wiedeńskim raju gorzką nieraz łzę wycisnie: oto tęsknota za wami bracia, i za tą mową ukochaną naszą, w której matka pacierza nas uczyła. No, a teraz ścielę się do stóp mych panów, braci i dobrodziejów. Do zobaczenia w Wiedniu. (*Gwiżdże w palce, na ten odyłós zjawia się dwóch ludzi w tureckich strojach*).

Kulczycki. Ne war, ne jok? (Co jest, czego nie ma; dosłownie—a właściwie: co tam słyhać).

Obydwa. E, i i! (Dobrze).

Diakowski. A to co? bisurmany?

Kulczycki. To moi pomocnicy; gdy jednego zabraknie, drugi stanie... potem trzeci i tak dalej. Adio! (*Odchodzą spiesźnie*).

Rączkowski. Z pod ziemi wyleźli bestye.

Diakowski. Tęgi człowiek; aleć to już nie polski szlachcic.

Miecznik. Zarwał obyczajów obcych, ale pod tą powłoką serce polskie mu bije. (*W oddali gęste strzały*).

Słyszycie? to szturm do Wiednia. Niechże go Bóg prowadzi szczęśliwie. A ot i narada skończona. Bacność panowie młodzi. (*Wycho-
dzą z namiotu: Król Jan z Elektorami w rozmowie, Księżę Lotaryngski, Kró-
lewicz, Podskarbi, Panowie*).

SCENA 6.

Ciż i Król Jan.—Elektorowie.—Królewicz.—Ks. Lotaryngski.—Podskarbi.—Panowie.

Król Jan. Nie ma obawy. Wódz, który na czele trzechkroć sto tysięcy, pozwolił przed oczami swemi postawić most, aby po nim przeszedł nasz dzielny sprzymierzeniec Księżę Lotaryngski, pobity być musi i będzie. Drapiąc się na tę niecnotliwą górę, patrząc jak biedna piechota moja na rękach dźwigała armaty, serce mi się krwawiło; aleć o-
płacone nasze trudy, bo skorom spojrział na ten motłoch pogański, już nie wątpię o zwycięztwie.

Elektor saski. WKMość przemawia jak prawdziwy pomazaniec boży.

Elektor ba warski. Nigdy nie pałał większą chęcią do boju.

Król Jan. Teraz, najjaśniejsi bracia moi i przyjaciele i wy panowie pozwólcie, że w obec was dokonam aktu, który serce moje oj-cowskie przejmuję największą chlubą, bo dokona się w obec koronowanych głów tyłu, na których spotkanie w miejscu takim wieki czekaćby musiały. (*Biorąc Jakóba za rękę*): Oto mój pierworodny, poraz pierwszy odbędzie ze mną chrzest bitwy. Wyrwałem go z pieszczotliwych uścisków kochającej matki a méj najmilszej żony i pomimo lat jego młodocianych, bo jeszcze szesnastu nie skończył, chcę aby skosztował żołnierskiego chleba; lecz nim krwią bisurmańską ubroczy oręż, pozwolicie, że go w przytomności waszej na rycerza pasować będę.

Wszyscy. Vivat królewicz miłościwy!

Królewicz Jakób. Dziękuję najmiłościwszym i Najjaśniejszym Panom i wam bracia za ten dowód miłości i szacunku.

Król Jan. Klęknij, Jakóbie (*klęka*). Najjaśniejsi panowie i bracia, czy chcecie wyświadczyć cześć krwi mojej, i być mu kumotrami w tym chrzcie rycerskim?

Elektorowie. Z zaszczytem, do usług W. Kr. Mości i godnej krwi jego. (*dobrywają obydwa oręża i stają po obu stronach królewicza Jakóba*).

Król Jan (*dobrywając miecza*). Jakóbie! Tém uderzeniem chciałbym wlać w ciebie ducha najzacniejszych przodków naszych, którzy do ostatniej kropli krwi przysięgali mścić się na pogaństwie, wrogach przenajświętszej wiary naszej. Na prochy pradziada Żółkiewskiego, na prochy stryja twego Marka, przysięgasz iść ich śladem?

Królewicz Jakób. Przysięgam.

Król Jan. Tém uderzeniem, niech wpoję w ciebie uczucia honoru i szlachetności duszy. Obyś był wzorem cnoty i prawości. Oby serce twoje biło dla wiary i uczciwości i oby było obrońcą słabych i ucisnionych.

Królewicz Jakób. Przysięgam na krew Zbawiciela.

Król Jan. To ostatnie uderzenie, w które chciałbym przelać cały zasób mój miłości, niech wzbudzi w tobie zasoby sił męskich, nieustraszonej odwagi rycerskiej, i żądy sławy wiekopomnej. Powstań synu. Złóż głękokie dzięki twoim najjaśniejszym druchom. Uściskaj ojca twego. (*Ceremonia, wchodzi poseł tatarskiego Hana, i rozgląda się po obozie*.)

Miecznik. Świetnie rozpoczynasz młody orle, obyś dotrzymał ojcu.

Diakowski. Atoż co? Bisurman, czy téż jaki towarzysz Kulczyckiego?

Stanisław. Prawdziwy bisurman, czy przebrany?

Diakowski. Chyba prawdziwy, bo mu źle z oczu patrzy.

Rączkowski. To szpieg wezyrski.

Podskarbi. Czego chcesz?

Poseł. Do Króla jegomości.

Król Jan. Co tam zaszło? Mówcież mi panowie.

Podskarbi. Poseł od Hana tatarskiego, Selim Gieraja.

Król Jan. Niech się zbliży.

Poseł (*drżący, ze schyloną głową, padając na twarz przed Królem*): Upadam w proch przed tobą, o chrześcijańskie słońce. Całuję ślady twoich stóp świętych.

Król Jan. Kto cię przysyła?

Poseł. Mój pan potężny, władca tatarskiej hordy, namiestnik Padyszacha, syn proroka, władca Krymu i Kaukazu, Han Selim Gerej przysyła mnie do ciebie, najpotężniejszy Monarcho świata, i oświadcza ci przyjaźń swoją wiekuistą, wdzięczność bez granic, oraz zapowiada przezemnie niegodnego sługę, że bić się z tobą nie będzie.

Cokolwiek zdasz, czy rozproszysz potęgę wielkiego wezyra, czy poniesiesz straty, mój pan wiecznie przysięgi ci dotrzyma.

Król Jan. Dobrze, gdzie stoicie obozem?

Poseł. Z tamtej strony ku góróm styryjskim.

Król Jan. Masz kieszę złota. Pokłoń się swemu panu Hano-wi Selim Gerejowi i powiedz, że Król Polski słowa mu dotrzyma, i że dziś w wieczór zaprasza go na ucztę do wezyrskiego namiotu.

Poseł. Tego pan mój spełnić nie może, najpotężniejszy Mo-narcho.

Król Jan. Jak wola jego. Spiesz.

Poseł. Upadam do nóg twoich. Pozwól niegodnemu słudze, o słońce chrześcijańskie, pozwól jednej roskoszy, a całe życie modły moje do proroka za ciebie słać będę. Pozwól mi kraj szaty swojej ucałować i popatrzeć na twoją twarz świętą.

Król Jan. Czyś mnie nie widział jeszcze.

Posłaniec. Widziałem cię, wielki monarcho pod Żurawnem jedno mgnienie sekundy, gdyś zmiatał Szejfana szeregi i zdało mi się żeś był niebiańską otoczony światłością, i wzrok mój olśnął wówczas.

Król Jan. A dziś cóż widzisz we mnie?

Poseł. Widzę Boga, który i gromy straszne i nieprzebrane skarby dobroci trzyma w dłoni. Niech cię Allah prowadzi, ty chrze-ścijańskie słońce (*chce odejść*).

Król Jan. Zabierz twoje złoto.

Poseł. Jam już udarowany (*odchodzi*).

Król Jan. To prawdziwy muzułman. Słyszeliście monarcho-wie? Hordy Selim Gereja bić się z nami nie będą.

Elektor saski. Słyszeliśmy i widzieli rzeczy nadzwyczajne. Samo imię W. Kr. Mości ich zwycięża, ale żeby tyle miłości i części obudzać w wrogach swoich, tego nie słyszałem i nie widziałem nigdy.

Król Jan. Rzecz to bardzo prosta. Nigdy nie nadużyłem mo-ich zwycięstw. Postępowałem z nimi zawsze jak z ludźmi, drogą honoru, a przekonałem się że to również cenić umieją. (*wpada Kul-czycki*).

SCENA 7.

Ciż i Kulczycki.

Wszyscy. Kulczycki!

Kulczycki. Odciętym. Już mnie poznano. Zaledwie zdoła-łem się wymknąć. Szpiegi rozpuszczono, aby mnie złowić i żywcem Wezyrowi przystawić. Obiecał sześć kies złota za moją głowę. Już teraz z wami bracia, Wiedeń zdobywać muszę. Jestem na usługi W. Kr. Mości.

Król Jan. Nikt więc obłożonym wiadomości nie poniesie.

Kulczycki. Już ją mają, za parę chwil usłyszysz W. Kr. Mość race, którą nas uwiadomia.

Król Jan. Któż ją poniósł, jeżeliś ty tutaj?

Kulczycki. Jeden z moich pomocników, który mnie ostrzegł o grożącym niebezpieczeństwie, drugiego w oczach mi rozsiekano.

Król Jan. Aś głowę nie od kształtu nosi, tęgiś mi, panie Kulczycki. Lepiej nawet, że się tak stało, bo znając obóz turecki, potrzebny mi będziesz.

Kulczycki. Kiedym się zbliżył już do ostatniej straży obozu tureckiego, usłyszałem rozkaz, aby cały pułk janczarów udał się pod mury miasta i uderzył do szturmu. Basza Mezopotamii, Kara Machmet i Hegro basza budyński już posuwają się ku nam pod górę. Wielki Wezyr przy szturmie.

Król Jan. Kapuściana głowa. Jemu się koniecznie Wiednia zachciewa. *(do trębacza)* Daj sygnał. Zbierzemy się przy klasztorze Kamedułów, gdzie wysłuchawszy Mszy Świętej, uderzymy w Imię Boże. *(Trębacz daje hasło; wchodzi dwóch niemieckich oficerów i zbliżają się do Elektorów, pytając o rozkazy).*

Elektor saski *(wskazując Króla Jana)*. Tu się udajcie po rozkazy.

Król Jan. Przy klasztorze Kamedułów. *(Elektorowie, Księżę Lotaryński, po zamianie wzajemnych ukłonów odchodzą; upadają na scenę, Kasztelan i Podkomorzy w ferworze).*

SCENA 8.

Król Jan. — Królewicz. — Miecznik. — Stanisław. — Diakowski. — Podskarbi. — Towarzysze. — Kasztelan. — Podkomorzy. — Panowie, później ksiądz Marek Avijano.

Miecznik. Oj coś tu niedobrego się święci.

Diakowski. Bodaj czy panowie za łby się nie wezmą.

Kasztelan. Tu oszczerco, przed Majestat królewski. Tu jak pies odszczekać musisz twoje słowa.

Król Jan. Miarkuj się panie Kasztelanie; co się stało?

Kasztelan. W. Kr. Mość raczyłeś łaskawie w pierwszym szyku postawić chorągwie moje, a Imć pana Podkomorzego, pod Leszczyńskiego dałeś komendę, a on pospędzał moje rotę i sam się w mój dział pakuje. Mnież to ustąpić pierwszeństwa Imć Podkomorzemu, gdy mnie wola W. Kr. Mości zaszczyca.

Podkomorzy. Schowaj aś tę razą butę swoją na Turka. Moje chorągwie zdawna Sieniawskiego komendy słuchały, a że Sieniawski z Królem jegomością w pierwszym idzie szyku, moim chorągwiom z nim iść przystało.

Kasztelan. A słowa królewskie za nic ważysz, Mości Podkomorzy?

Podkomorzy. Król Miłościwy wydając ten rozkaz, nie świadom był naszych partykularnych obyczajów, jak po staremu przy Sie-

nawskich Ruszycze pełnili służby; trzeba długą zasługą, mój Kasztelanie, dokupywać się takiego miejsca.

Kasztelan. Zamilcz panie Podkomorzy!

Król Jan. Przestańcie, panowie! Tu Europa na nas patrzy. Macieź wydobywać stare, zbutwiałe waśnie w dniu takim, gdzie losy Chrześcijaństwa na szali? W Imię Chrystusa, w Imię Najświętszej Panny! Panie Podkomorzy, wiem, że aści ofiarności i męztwu, rzadko który z rycerzy naszych zrówna; odpuść panu Kasztelanowi, niech pomknie z swojemi chorągwiami, a i trzeci szyk się nie powstydy, bo go poszłę w największy ogień.

Podkomorzy. Nigdy, miłościwy Królu. Wolę cofnąć moje hufce i do domu powrócić, niżeli patrzeć na butę tego człeka.

Król Jan. Zły z waści chrześcianin, panie Kasztelanie, nie dajmyż z siebie tego ponizającego spektaklu niemcom; puść pana Podkomorzego.

Kasztelan. Rzekłes słowo miłościwy Panie, i wiernie przy niém stoję; a wolę stracić tę oto siwą głowę w pierwszym natarciu, niżeli na śmiech srogi i pohańbienie się wystawić.

Król Jan. Zostańcież z chorągwiami waszemi. Niech inni, godniejsi, wawrzyny zwycięstwa zbiorą. (*Wchodzi ksiądz Marek Avijano Kapucyn z krzyżem w ręku*).

Ksiądz Avijano (*żegnając krzyżem*). W Imię Ojca, i Syna i Duchą! Pozdrawiam was Polonii synowie. Niosę wam błogosławieństwo Ojca Świętego. Pozdrawiam cię, bohatérski Królu, obrońco wiernych, tarczo i puklerzu świętej wiary chrześcijańskiej. Ja niegodny sługa Chrystusa, dziękuję Przedwiecznemu, zem dożył dni, które mi dają oglądać ciebie; bo zaprawdę powiadam wam: od owych czasów Gotfreda i Ludwika ś., nie miał świat godniejszego następcy. Frymark, interes, brudny egoizm, wiodły wojny z pogaństwem i Bóg nie błogosławił nigdy ich orężowi, i zebrała się chmura i wzrosła w potęgę i grozi zalewem Wierze naszój za grzechy nasze. Lecz oto postawił Pan bohatérskiego męża, który porzucił doczesne interesa światowe i z zastępem rycerzy spieszy ratować uciśnione Chrześcijaństwo. Patrzcie nań ludy i budujcie się. Nie znikną jeszcze z ziemi cnota, gdy tacy męże się rodzą. Szczęśliwi wy, że pod takim wodzem walczyć, szczęśliwi wy, żeście doczekali chwili wielkiej, która o losach świata decydować będzie. Przystępujcie do tej świętej sprawy z czystym i nieskalanym sercem. A kto dumę i prywatę w sercu nosi, niech ją rzuca precz od siebie, a kto zawiścią lub złością napełnion, niech się korzy, a kto małej wiary niech ucieka, bo zaprawdę powiadam wam, że ci wszyscy zginą marnie i niesławnie, a sprawiedliwi i czysti wielkie zwycięstwo odniosą i dziwić się im będzie świat cały i matki będą ich pokazywać niemowlętom i sława ich do końca świata nie zginie nigdy, tak jak nie przemina nigdy świętej Ewangelii słowa. Korzcie się w Panu... a potem zwyciężajcie. Błogosławię was! (*kreśli krzyż nad ich głowami*). Kasztelan i Podkomorzy po niemój walce zbliżają się do siebie)

Podkomorzy. Panie Kasztelanie, utopmy u stóp tego świętego meża nasz spór nieszlachetny, ustępuję.

Kasztelan. Tak jak ja waszmości, idźmy gdzie nam nasz król każe. Przebacz Wasza Miłość Królewska.

Król Jan. Na wroga! W Imię Najświętszej Panny. Na koń i zaintonujmy pieśń naszą, przy której pradziadowie zwyciężali. (*Pieśń śpiewana chórem „Bogarodzico Dziewico“ — Zastona powoli spala. — Pieśń wciąż słyhać za sceną—po chwili orkiestra podejmuje ten motyw i na tle jego rozwija się uwertura, naśladując gwar bitwy,—okrzyki zwycięstwa—jęki konających Turków i t. d.*

AKT III.

Wnętrze namiotu Kara Mustafy. Ta sama dekoracya co w akcie pierwszym.
Z dala słyhać gwar bitwy, który się stopniowo wzmagą.

SCENA 1.

Harem.—Zelia.—Jaryna.—Prakseda.—Kamieniecka.—Straż
czarnych rzezańców.

Zelia. Czegożeście takie strwożone siostry? Czego wy oczekujecie, lub czego się spodziewacie? Mnie ten gwar bitwy marzyć tylko przeszkadza. Szalone wy, myślicie może, że chrześciance zwyciężą to niezwyciężone wojsko padyszacha? że złamią jego potęgę? To tak samo, jak gdyby ktoś chciał osuszyć morze, wstecz cofnąć ten Dunaj mody. Zginie naszych Turków tysiące, to na ich miejsce przyjdzie tysiące tysięcy. A nam co? Będziemy miały zawsze miękkie poduszki, świeży sorbet i buzę-pilaf, który tak lubię, kiebaby, rachatłu-humy, hałwy, owoce smażone i spokój tego wahadłowego zegara, bo inaczej być nie może.

Kamieniecka. Słuchajże ty Bułgarko wyrodna! Dunaj się wstecz cofnąć może, tak jak i morze osuszyć a potęga barbarzyńców złamać, ale w duszy upadłej jak twoja, żadne szlachetne uczucie już nie błysnie.

Jaryna. Porzuć ją Sali. Ona dawno zapomniała tego, co z piersi matki wyszała.

Zelia. Bo to już tak dawno.

Prakseda (*nuci piosnkę*):

Leci sokoł ponad Serajewem,
Patrzy miejsca gdzieby spocząć sobie.

Oh! wy góry moje sine, gdzie Wrbas bystry po skałach szumi.
Oh! zielone dąbrowy nasze i wy pieśni rodzinne. Oh! Bośni nasza!
Bośni!

Jaryna. Matko moja, domku nasz ukochany i wy bracia najdrożsi.

Zelia. O! haremie stambulski! gdzie cisza boska i zapomnienie tego głupiego świata.

Kamieniecka. Może ty myślisz, że życie twoje dawnym szlakiem zwierzęcym płynąć będzie? nie; właśnie kres jego już się zbliża. Chrześciance zwyciężą a nas ciemiecy nasi zabiją, byśmy nie wpadły w ręce naszych wybawców. Oh! zwyciężą! Ja tego jestem pewną jak śmierci i ze złożonemi rękami, na kolanach błagam o nią Chrystusa, bo ona będzie dniem tryumfu.

Prakseda. Co mówisz Sali? nas zabiją Turcy? Za cóżby nas zabijać miano?

Kamieniecka. Bo tak czynili zawsze, bo tak prawo Mahometa każe. Niewiasta, która należała do służki proroka, nie może już należeć do innego.

Prakseda. Okrutna, rozwiłaś mi marzenie moje piękne — jam się już widziała u stóp naszej pięknej Cziki, a ty umierać mi każesz.

Kamieniecka. Biedna siostrzo, bogdajbym fałszywą prorokinią była. Niech zapomną o nas w chwili popłochu...; ale patrz na te nieme, czarne twarze z kindżałami u pasa, ci nam pewnie nie przebaczą.

Jaryna. A jeżeli i oni zginą?

Kamieniecka. Nigdy nie zbraknie siepaczy. Wreszcie i cóż nam po życiu? Czy rodzina nas przyjmie w swój dom czysty? Myśmy zgubione. Modlitwą tylko za ojczyznę, za wiarę naszą okupiemy możemy hańbę, którą dźwigamy.

Jaryna. Siostrzo najdroższa, ty przemawiasz tak jak ojciec mój Wukoszyn. Oh! on mnie uczył i kazał umierać za wiarę i ojczyznę a nie miałam odwagi. Patrzyłam się zawsze na takie jak ona, Zelia, i utuczyłam się w tém piekle, ale dziś tyś zbudziła w mojem sercu to wszystko, co tam spało na spodzie i gotowa jestem umrzeć z tobą, bylem wiedziała, że Chrystus tryumfuje.

Kamieniecka. Dobrze, moje dziecię. Gdyby w każdym pierśsiach chrześciańskich duch ofiary mieszkał, jużbyśmy dawno skruszyli niewiernych pęta. Lecz nadeszła godzina odwetu. Oh! gdybyście widziały ten błąd przestרח tyrana, jak na święte imię Sobieskiego drżał cały, jak chciał mnie użyć za pośrednika pokoju między Królem naszym. On stracił odwagę przed jego imieniem i musi być zwyciężony. Cicho! Słyszycie, okrzyki coraz wyraźniejsze; ta fala ku nam się zbliża, słyszę jak gdyby szum skrzydeł naszych husarzy, którzy jak aniołowie zemsty spadają w tłumy niewiernych i śpiew Bogarodzicy nucą.

Prakseda. Mnie straszno.

Kamieniecka. Nie drzyj słowianko. To bohater pobratymców twoich, Polaków, kruszy kajdany wasze, w których lat tyle jęczycie. To Sobieski, łamie zastępy niewiernych, które przez wieki grozi-

ły Chrześcijaństwu. Słuchajcie! słuchajcie! (*Gwar się wzmacnia, strzały blisko*).

Głos Wezyra. No, psy! bo wam roztopionego ołowiu łać w gardło każe.

Zelija. Głos Wezyra, słyszysz szalona... a ty marzysz o zwycięstwie chrześcian. Głos ten, przed którym drżą i na twarze padają.

Kamieniecka. A czy ty rozumiesz akcent tego głosu... to głos rozpaczy.

Głosy Turków. Allah, Akbar Allah!

Głos Wezyra! Uderzaj! łam! Ha przekłęci gjaurzy.

Głosy Turków. Allah! Allah! Zwycięstwo Effendim. Chwała prorokowi.

Zelija. Czy słyszysz?

Kamieniecka. Wielki Boże! może to być? Oh! Ty nie dopuścisz tego Wszechmocny Panie. Na kolana siostry! To chwila straszna i wielka. Przywołujcie do pamięci wszystkie okrucieństwa, wszystkie ich zbrodnie. Przypomnijcie wasze lata dzieciństwa i niewinności, a potem, kiedy was wyrwano z objąć matek i ojców i rzucono w kał ohydy. Przypomnijcie tej krwi potoki niewinnój... a potem z głębi duszy wzniescie dłonie błagalne do Stwórcy. Oh, Panie nad Pany! Przez krew Chrystusa na krzyżu wylaną dla ludzkości, przez łzy i jęki wyznawców Twoich, ulituj się niedoli naszój i daj prawdzie zwycięstwo. Niech złość okrutna i pomrok nocy przed Twojém światłem niebiańskiem pierzchnie, o Panie! Panie!

Jaryna. Ona w zachwycie cała.

Prakseda. Módlmy się, Jaryno.

Zelija. Szalona.

Głosy Polaków w oddali. Jezu Chryste!

Kamieniecka. Ha!

Głosy Turków. Allah! Allah!

Głos Wezyra. Spach Oglarsu... tu do mnie. Kassadzieje precz na lewo! (*wystrzały coraz gęstsze i coraz bliżej*).

Głos Wezyra. Gdzie Han Gerej?

Prakseda. To piekło istne.

Głos Polaków w dali. Matko Boska, Ty z nami!

Kamieniecka. Słyszysz?

Jaryna. Oh! słyszę.

Głos Króla w dali. Tam! tam wszystkie siły wyteżcie. Na Matkę Najświętszą, walcie wszystkie strzały w tę kupę.

Kamieniecka. To głos Króla; o Boże!

Głosy Turków. Allah! Allah!

Głos Wezyra. Basza Alepu... tu! Dźwignijcie go... trupem! Gdzie Basza Sylistryi? Ha! Gerój przekłety.

Głosy Turków. Allah! Allah! (*wystrzały coraz bliżej*).

Głos Króla bliżej. Na rany Chrystusa zaklinam was, dzieci. Jeszcze! Jeszcze! (*wystrzał uderza w namiot i odrywa kawał płótna*).

Wszystkie (*z przestraczem*) Ha!

Zelija. Tuśmy życia niepewne. Za mną chódźcie. (*wszystkie trzy uciekają*).

Kamieniecka. Uciekajcie biedne wy sarny trwożliwe, ja zostanę do końca.

Głos Wezyra. Do mnie Azapan! Oubaszi tu, zasłońcie mi to skrzydło. Uciekają! Ha! przekleństwo na was, psy wyrodne.

Głosy Turków. Ratuj! oh ratuj się Effendim, to Król polski.

Głos Wezyra. O dniu przeklęty!

Głosy Turków. O Allah! Allah!

Głosy polskie. Victoria! Victoria!

Głos Miecznika. To za mych synów, to za córki moje.

Głos Króla (*blisko*) Zawołać tu pana Kąckiego.

Głos Polaka. Pan Podskarbi zabity! (*strzały coraz silniejsze*).

Głos Wezyra. Basza Jusuf! Basza Jusuf! Oh Azapan przeklęty. Konia mi, konia!

Głosy Polaków. Vivat pułk księcia Aleksandra!

Głosy Polaków. Ha! psy pogańskie, Wiednia wam się zachciało.

Głos Króla. Pana Hetmana chorągiew, niech uderza całą siłą! spiesz!

Głosy Polaków. Chorągiew Mahometa, chorągiew Mahometa w naszym ręku. Vivat!

Głosy w dali. Allah, Akbar Allah. (*Wezyr wpada do namiotu, za nim Kichaja i Janczarowie. Wezyr bez turbana na głowie, z szablą w dłoni; wchodzi Han Gerej*).

SCENA 2.

Wezyr. — Kichaja. — Han. — Janczarowie. — Kamieniecka.

Wezyr. Uciekają! Wszystko w rozsypce, wszystko stracone. Uciekają jak gdyby przed obliczem zagniewanego Boga. (*do Hana*) Tyś tu, przeklęty zdrajco! Teraz przychodzisz urągać rozpaczy mojej. Gdzieś był z twoimi Tatary, kiedy wrzał bój, kiedy wzywałem ciebie i kiedy pomoc twoja zapewniłaby nam zwycięstwo?

Han. Zwycięstwo? nie z Sobieskim; nie chciałem ludzi moich wydać na zgubę, jak ty szalony Wezyrze.

Wezyr. Ha! renegacie!... niechże głowę twoję Padyszachowi w darze pošlę (*zamierza się szablą*).

Han (*odtrącając cios*). Szalony, pilnuj swojej raczej. Uchodź, abyś się nie stał łupem Polaków.

Wezyr. Ratuj mnie... oh! ratuj, a wszystko ci przebaczę.

Han. Trzeba było słuchać mnie pierwój, teraz już zapóźno. Patrzałeś ty na słońce? Ta jego purpurowa barwa, to krew synów proroka. Myśl o sobie, bo Król Polski już pod twoim namiotem. (*Odchodzi*).

Wezyr. Niech tysiąc segitary w moc cię swoją pochłoną. Straciłem całą potęgę Padyszacha, zgubiłem jego wojsko... Gdzie syny moje?... moje dzieci? Oh! dniu przeklęty! (*Do Kichaj*). Idź po dzieci moje! (*Strzały*). Konia! Konia prędkiej! Bierzcie skarby moje. Zabierajcie wszystko. (*Strzały*). Zostawcie. Konia! (*Kilku Jan-czarów wybiega, wchodzi Kichaja z synami*). Dzieci! oh, dzieci! widzicie ojca w rozpacz! (*placząc*). Oh! Allah, Akbar Allah! czemuś mi to piekło zgotował? (*Strzały*). Idź z niemi... Konia mi dajcie, przekleć! Prowadź moich synów do Spach-Oglarsu baszy, stoi tam z prawej, poza namiotem... Idź! (*Kichaja chce iść, kula go trafia—upada*). Zabity! oh! dzieci moje... Pójdźcie, pójdźcie...

Głos Króla. Non nobis, non nobis Domine exercituum, sed nomini Tuo des gloriam.

Wezyr. Ryczysz mi tu, lwie chrześcijański. O! Allah, Akbar Allah! opuściłeś ludy twoje.

Kamieniecka (*na kolanach*). Gloria in excelsis!

Wezyr. Tyś tu, czarownico? Czemuż nie mam tyle czasu, aby najkrwawsze męki zgotować dla ciebie!

Kamieniecka. Jam gotowa na nie... wołaj twoich oprawców... czekam...

Wezyr. Oh! nie doczekasz zwycięstwa Króla twego (*przebija ją*).

Kamieniecka. Dziękil

Wezyr (*do rzeźniców*). Zabijcie wszystkie. Chodźcie, chodźcie dzieci moje (*uchodzi*).

Głosy Polaków. Vivat Rex!

Kamieniecka. Zwycięztwo! Oh, wy orła syny, błogosławione dni wasze! Sława! Sława po wszystkie wieki... Oh! pójdźcie, pójdźcie tu do biédnej, umierającej niewolnicy... Niech zobaczą ukochane twarze wasze. Niech dotknę się kraju szat waszych na ostatnie moje pożegnanie. (*Wchodzi Król Jan z chorągwią Mahometa, za nim otoczenie*).

SCENA 3.

Król Jan.—Kamieniecka.—Panowie polscy.—Dworzanie.

Król Jan. Bądź pochwalony, Panie!

Kamieniecka (*słabym głosem*). To Król!... O! bohaterze chrześcijaństwa!

Król Jan. Kto tu przemawia?

Kamieniecka. Polka... szczęśliwa, że ciebie widzieć może jeszcze i konając, błogosławić.

Król Jan. Kto jesteś, biédna niewiasto?

Kamieniecka. Jam Salomeja Przyjemaska z Tokarzewic.

Król Jan. Przyjemaska? wzięta w Kamieńcu?

Kamieniecka. Tak, w Kamieńcu, który dotąd w ręku pogan niewiernych; ale ty go im wydrzesz, wielki Królu, prawda? Oswobo-

dziłeś Wiedeń, oswobodziłeś Chrześcijaństwo. W haremie zwano mnie Kamieniecką na wzgardę nam, im na chwałę.

Król Jan. Skryte sądy Twoje, o Panie! Pana Miecznika kowelskiego wołajcie. Oto córka jego nieszczęśliwa we krwi się pławi. Lekarza mego wezwijcie.

Kamieniecka. I mój ojciec był z wami? Oh! czemuż nie przybywał!

Król Jan. I brat twój, biedna dziewico.

Kamieniecka. I brat! Nie trzeba mi lekarza, mój Królu. Już za chwilę opuszczę ten świat, gdzie mi tak strasznie było... lecz umieram szczęśliwa, boś ty, Panie, zwyciężył... ojca nie doczekam, ni brata. Powiedz im... powiedz Królu, że była Polką zawsze i że całe życie modliłam się za ich... za wasze szczęście (*umiera*).

Król Jan. Na progu zwycięstwa mego módl się za nami w niebiesiach, ty szlachetna Polsko córko. Idźcie! przeszukajcie ten cały namiot. Więcój tu ofiar być musi. Gdzie Pekorini? Wołajcie doktora mego, może się ocalić jeszcze da kogo. (*Wpada Miecznik, Stanisław, Diakowski, Rączkowski*).

SCENA 4.

Ciż.—Miecznik.—Stanisław.—Diakowski.—Rączkowski.

Miecznik. Córa, mówicie, moja... a która?

Król Jan. Salomeja. Zapóźno przybywasz, biedny ojczel!

Miecznik. Salunia, moja młodsza. Nie żyje już. I takeście mnie późno zawołałi, okrutni. Czemużeś nie zaczekała za ojcem, o niedobra! Już zimna. Stasiu, poznajesz, poznajesz: wszak to Salunia nasza. Dziesięć lat niewoli srogięj... Oh! ty moje najukochańsze dziecię... i małoco się zmieniło. Czemuż twych ocząt ślicznych widzielić nie mogę... A na piersi nosisz medalik Matki Boskiej. Nie zaparłaś się wiary ojców.

Król Jan. Była godną cześci największej.

Miecznik. Krwi ty moja nieszczęsna... Zasiane tobą kresy nasze i jeszcze tu, na niemieckiej ziemi, w obozie Turków haracz płacisz (*placze*).

Król Jan. Biedny starcze.

Diakowski. My się tu we łzach rozpląniem.

Miecznik. Smutną nowinę pošlemy matce z pod Wiednia, Stasiu. Tak, jam tylko takie gościńce do dom przywoził. I nic już nie powiesz ojcu? Jam dziś za ciebie krwawo ubroczył ręce w krwi pogańskiej, a tyś tu konając, wzywała ojca twego. Śpij w spokoju, pieszczoto moja... Nie ma tu matki, żeby ci giezłeczko do trumny uszyła... Lecz po co te łzy durne. Pan niech będzie pochwalony... dał nam zwycięstwo, a ciebie oswobodził. Hej! Królu miłościwy i wy, towarzysze moi, na pogrzeb proszę mojej ukochanej córki jutro z rana. Własnymi rękami, tam na górze wykopiemy jej mogiłę... a teraz daruj-

cie mi, zem chwilę tę małą sercu ojca pofolgował. Cieszymy się wiktorją oręża polskiego. Niech żyje nasz Król!

Wszyscy. Vivat!

Król Jan. Nim pieśń tryumfu wzniesiem do Boga, dokończyć trzeba pracy. Niech Mieczysławski chorągwie ścigają wroga. Pułk kirasyerów cesarskich niech spędzi z murów Janczarów, którzy jeszcze walą do Wiednia. Wydać srogi rozkaz, aby nikt, pod utratą gardła nie ważył się brać łupów. Jutro dział swój weźmiecie; dzisiejsza noc w spokoju, w modlitwie i na czuwaniu niech przejdzie. Uczcijcie zwłoki téj panny. Jutro wraz z naszymi poległymi rycerzami grzebać ją będziemy. (*Otoczają zwłoki Kamienieckiej i wraz z Miecznikiem i Stanisławem wynoszą; wchodzi Rubinkowski*).

Rubinkowski. Wszystkie niewiasty w pień wycięte; nawet biednemu strusowi, który tu był chowany, nie przepuszczono. Papuga tylko po nich została żywa, ale poczuwszy wolność, uciekła. (*Wchodzi Proski w kajdanach*).

Proski. I ja, dodaj waszmość.

SCENA 5.

Król Jan.—Panowie.—Dworzanie.—Proski.

Król Jan. Pan podczaszy?

Wszyscy. Nasz poseł.

Proski. Ja, mój Królu, trzymany oto w kajdanach i wleczony za obozem tego niecnoty. Niechże mam ten zaszczyt z rąk mego Miłościwego Pana wolność odzyskać. Rozetnij moje kajdany, Królu. (*Kłęka przed Królem, który mu szablą rozcina więzy*). Dzięki ci, Najjaśniejszy Panie. Wracasz mi życie i wolność. Jestem jak człowiek, który nagle w światło wprowadzony, wzrok odzyskał. To, co ja tu widziałem, ani język ludzki wypowie, ani pióro opisze. To, coś ty zdziałał, wielki Królu, przechodzi najzuchwalsze marzenia fantazyi ludzkiej. Twoją wielką taktyką i orężem, postrachem imienia twego, zgniotłeś całą otomańską potęgę. Dziwić i wielbić cię będą do końca świata.

Król Jan. Jakżeś zdołał uniknąć śmierci?

Proski. Zapomniano o mnie w popłochu. Ten błąd strach, który ich gnał do ucieczki, odjął im przytomność całą; deptali się wzajemnie i dusili w tym tłumie, aby tylko prędkiej, aby dalej, aby głosu twego nie słyszeć, panie. Zostawili tu wszystko. Takiego łupu żaden jeszcze zwycięzca nie otrzymał. Kara Mustafa uciekł piechotą z dwoma swymi synami, dopiero przebojem spabowi odebrał konia, położywszy go trupem. (*Przybywa coraz więcej panów i wozów, tak polskich, jak niemieckich, wchodzą Elektorowie, Książę Lotaryński, Króliewicz Jakób, Szlachta*).

SCENA 6.

Ciż.—Elektorowie.—Senatorowie.—Hetmani.—Księżę Lotaryngski.—Królewicz.

Elektor saski. Oh, Salwatorze nasz!

Księżę Lotaryngski. Daruj wielki bohaterze, że w ubogim moim języku nie mogę dla ciebie wyrazu znaleźć. Oto miecz, który ci u nóg składam (*rzuca miecz pod nogi królewskie*).

Elektor bawarski. I ja!

Panowie niemieccy. My wszyscy! (*padają na kolana*).

Król Jan. Do serca mego, waleczni bracia i towarzysze moi. Praca to wspólna nasza ocaliła Chrześcijaństwo, a świeciła nam w niej i dodawała otuchy meztwu wiara Krzyża świętego. (*Wchodzi hetman Sieniawski, za nim wielu panów wprowadzają jeńca tureckiego z siodłem*).

Sieniawski. Janczarowie pod murami w pień wycięci. Odbito dwa tysiące niewolnika, między nimi przeszło tysiąc niewiast i dzieci. Oto, Miłościwy Panie, sługa wezyrski, który pojmany został wraz z koniem i siodłem swego pana, gdy go napróżno w obozie szukał.

Król Jan. To podarunek dla królowej, a na koniu wezyrskim wjedziemy w bramy Wiednia. Wezwijcie mi tu Talentiego, pośle przez niego tę chorągiew wraz z listem Ojcu Świętemu.

Księżę Lotaryngski. Noc już zapada, zostawmy naszego bohatera spoczynkowi.

Elektor saski. Słudzy WKMości.

Elektor bawarski. My tej nocy spać nie będziemy, tak radość jak i troska odganiają sen z powiek, ale WKMości należy się chwila spoczynku.

Król Jan. Tak jak i wam, najjaśniejsi moi przyjaciele. Wydałem surowy rozkaz, aby czuwano tej nocy, bo się jeszcze obawiam napadu. Poganin niezwykły tak łatwo ustępować. (*Wzajemne ceremonialne ukłony, Panowie niemieccy odchodzą, zostają tylko Polacy*).

Król Jan. Czuwajcie panowie i o każdym niebezpieczeństwie raczcie mnie zawiadomić. Panie hetmanie, jakkolwiek ciężką była praca wasza, raczcie jeszcze dzisiejszej nocy dać oko na obóz, ja w tym przybytku grozy dziękczynne modły słać będę, gotów stanąć każdej chwili w potrzebie.

Hetman. Sługa WKMości. (*Odchodzi*).

Król Jan (*do Diakowskiego*). No, dobrześ mi się aś sprawił i szablą i piórem władać umiesz. Wielu naszych zginęło?

Diakowski. Pan Podskarbi nieborak w chwili popłochu, młody pan Potocki i kilku ze szlachty mazowieckiej.

Król Jan. Wciążnij mi wszystkich imiennie do swojego dyaryusza. Pan Kochowski będzie miał materiału dużo. (*Odchodzą wszyscy, zostaje Królewicz Jakób, wchodzi Talenti*).

SCENA 7.

Król Jan. — Królewicz. — Talenti.

Talent. Stawiam się na rozkazy WKMości.

Król Jan (*do pokojowców którzy zostali przy drzwiach*). Podajcie mi inkaust i papier. Tej nocy jeszcze wyjedziesz. Opowiesz Ojcu Świętemu wszystko coś widział; poniesiesz mu wojenne trofeum: tę chorągiew Mahometa, niech ozdobi kościół ś. Piotra. (*Przynoszą potrzeby do pisania—Król siada*).

Talent. Jakże mnie dumnym i szczęśliwym czynisz Panie.

Król Jan. Zaszczyt ten, należał ci się mój Talenti, za twoje zasługi i wierność dla sprawy świętej. (*Pisząc—mówi*). „Venimus, vidimus, Deus vicit!” Racz Ojciec Święty przyjąć jako nowy dowód czci...

Królewicz Jakób (*do Talentiego zcicha*). Słuchaj Talenti, jesteś człowiek bystry i rozumny, usłuż dobrze méj sprawie a nie pożąłujesz tego.

Talent. Cały na usługi WKMości.

Królewicz. Ucałuj nogi Ojca Świętego, zapewnij go o mojej czci głębokiej i proś, aby popierał małżeństwo moje z arcyksiężniczką.

Talent. To już jakby zrobione. Czyż JCMość dziś mógłby odmówić czego Wam, najdostojniejszy książę.

Królewicz. Gdy pukać nie będziemy, może pójść w odwłokę a z czasem i w zapomnienie, bo ojciec nie upomni się o to.

Talent. Racz WKMość polegać na mojem słowie.

Król Jan (*pieczętując list*). Jedź, i niech cię Pan Bóg prowadzi, a gdy dopełnisz misyi, pośpieszaj do nas gdziekolwiek będziemy—choćby w Stambule.

Talent. Niech Bóg spełni wasze wielkie zamiary, potężny Królu. Pokorny sługa WKMości. (*Odchodzi*).

SCENA 8.

Król Jan. — Królewicz.

Król Jan. No, mój Fanfaniku, jeschcem cię dziś nie uściskał. Pokaż mi się, drogie dziecko... Cały, choć trochę kręto było koło ciebie. Zagalopowałeś mi się aść... i gdyby nie był nadbiegł Sieniawski, to kto wie...

Królewicz. Alem go zwałił z konia i zabił.

Król Jan. Tak, lecz gdyby cię był Sieniawski nie zastonił, Turekby tryumfował nad tobą: widząc to zdretniałem cały. Nie pamiętałeś mojej przestrogi... nie zastoniłeś się dobrze po zadanych razie... a wróg nie próżnuje... nie da on ci się opamiętać... a cóż dopiero, jeżeli jeszcze za plecami lub z boku, drugi, trzeci i dziesiąty naciera. Poprawże mi się, dziecko.

Królewicz. Przyrzekam ci, ojcze.

Król Jan. Zresztą dobrześ mi się aś sprawił, zdobyłeś o-
strogi rycerskie. W obec tylu europejskich potentatów, nie przynio-
słeś mi ujmy. Pokochali cię wszyscy, to dobrze wróży o twój przysz-
łości, drogi synu, uradowałeś serce ojca. Napiszę zaraz o tём do mat-
ki, która biedna już z trwogą oczekiwać listu musi.

Królewicz. Ocaliłeś tron Cesarzowi, zawdzięcza ci dziś wszyst-
tko. Pomyśl ojcze o korzyściach, jakie ztąd wyciągnąć można.

Król Jan (*wskazując serce*). Korzyści moje tu wszystkie. Nie
dla światowych widoków przedsięwzięłem to dzieło, ale dla Tego, któ-
ry tam nad nami, w skrytości serca naszego patrzy i dla tego dał mi
zwycięstwo. Biada człękowi, który oblicza zyski i nie oddaje się cały
wielkiej sprawie: taki zginie marnie. Służ Bogu i ojczyźnie, mój synu
a korzyści same przyjdą.

Królewicz. Matka inaczej o tём trzyma. Najpierw o sobie
myśleć należy.

Król Jan. Matka zbytkiem miłości grzeszy. Idź na spoczy-
nek, Fanfaniku. Jutro zobaczysz Wiedeń dziękczynny. Poznasz waść
jak słodko pracować dla szczęścia drugich. (*Królewicz po pocałowaniu ręki
ojca, odchodzi*).

SCENA 9.

Król Jan (*sam*). To chłopię o korzyściach mi mówi. Korzyści! Tak, to język pospólstwa. To dzisiaj hasłem wszystkich. Francuz wiąże się z Turkiem, aby pognać sąsiada. Turek z Węgrem w ligę wchodzi, a ja... ja spełniam wiekową zemstę. I oto stanąłem u jej kresu... i oto depczę potęgę Padyszacha, z której się już nie dźwignie. Jam tu, z kąd groźba na świat chrześcijański biegła. Słyszycie mnie wielkie cienie naddziadów moich, których szlachetne głowy zdobyły Stambułu bramy. Matko moja święta, uraduj się, bo oto spełniłem to, com ci przy grobowcu wielkiego Hetmana poprzysiągł. Dokonane dzieło. Jam Opatrzności narzędziem. Stańm na wyżynie, gdzie nie bywał żaden z śmiertelnych, od wieków niepamiętnych. O moje piersi rozbiła się Ottomanów potęga. Skończone dzieło. Czyż skończone? (*siada i zamyśla się głęboko*). Nie... przecież troska obsiadła duszę i w chwili tój wielkiej, upojenia i tryumfu, niedostaje mi czegoś w duszy, jak gdyby wyrzut jakiś się odzywa, że nie wszystko spełniłem jeszcze. Że to dopiero połowa tego, com spełnić powinien. (*patrzy po stole i spostrzega obraz*). Co to jest? Obraz Najświętszej Panny, tu w namiocie Wezyrskim... Tu w pogan domu ten święty wizerunek. Czy mnie oczy nie mylą, napis: „Per hanc Imaginem Victor Joannes!” Czyż dłoń położyła ten napis? kto ten obraz zostawił tu, na tym stole? Wszak zastałem tu tylko tę biedną męczennicę, we krwi umierającą i błogosławiącą mi. Tak, to ona... proroczym duchem zwyciężę we mnie odgadła. Wieczny ci spokój, biedna duszo. Zostawiłaś mi puściznę naj-

cenniejszą, ze wszystkich moich zdobyczy. Zawieszę ten obraz nad łóżem mojem i już póki życia mnie nie odstąpi. (*patrzy w obraz*). Ty, Oredowniczo moja święta, do której łaski we wszystkich ważnych życia momentach, zanosilem błagalne prośby, Ty, coś świętym swoim płaszczem, zasłaniała mnie od wroga pocisków, oświeć duszę i wskaż drogę, którą-m kroczyć powinien. Zeszlij mi z nieba natchnienie w tej chwili wielkiej życia mego. Nie daj zawładnąć ziemskiej pysze i tym wszystkim małostkom ludzkim, które mnie obsiadają dokoła. Zasłoń mnie od nich puklerzem Twojm, jakieś na polach bitew zasłaniała, oh, bo straszniejszy wróg, którego człowiek w sobie nosi. (*po chwili przechadzając się po namiocie*). Tu umarła ta, którą Kamieniecką zwano. Kamieniecką. To nazwisko jakby ostrzem sztyletu dosięgło serca mego i zatrulo mi spokój. Kamieniec. Ocaliłem Chrześcijaństwo, a Kamieniec w ręku wroga pozostał. Więcem źle począł? Trzeba było Wiedeń zostawić, i całą siłę pod Kamieniec zgromadzić. Trzeba było wprzód o korzyściach myśleć, a nie iść ślepo za głosem serca. Zamilknąć ono było powinno według rachub tego świata. Niestety, tém, czém jestem, pozostanę do śmierci. Kochać tylko i nienawidzić mocno umiem. (*po chwili, zapatrzony i zamyślony głęboko*). I czemuż, czemuż mam być jeszcze? (*Zjawia się duch Kamienieckiej w tém miejscu gdzie leżały jej zwłoki i wymawia dobitnie*): „Królem Polski!”

AKT IV.

Wiedeń: plac przed kościołem świętego Stefana. Domy i balkony ubrane w kwiaty. W oknach kobierce drogocenne. Tłumy ludu zalegają plac i okna wszystkich domów. Na przodzie sceny naprawo kościół, do którego drzwi otwarte.

SCENA 1.

Kulczycki wjeżdża wielkim wozem głębią i zatrzymuje się naprawo. Lud otacza go ze wszech stron.

Kulczycki. A pójdźcie! pójdźcie! rzeszo zgłodniała. Oto tureckie chleby i frykasy. Oto baranina świeża, utuczona na waszych naddunajskich pastwiskach. Oto ryż w workach. Tu słodkości przeróżne. Co komu wola (*w miarę jak wylicza, podaje przedmioty, które tłum rozchwytuje*). Siedm tygodni postu, to akurat tyle, żeby za to sto dni odpustu dostąpić. Możecie za to śmiało żądać dyspensy papieżkiej, aby was uwolniono od wszelkich wigilii i suchych dni.

1 z ludu. Oh! Herr Kulczycki, jaki wy dobry człowiek!

2 z ludu. Oh! unser brave Bruder Pole!

Kulczycki. Tu macie sorbet w beczkach: nic podobnego jeszcze gardła wasze nie widziały. Najedzcie się i napijcie, pocziwe szwaby, abyście godnie mogli powitać zbawcę waszego.

1 z ludu. Oh! dieser König! Oh! grosser Mann!

Kulczycki. Wilhelm, a obdziel tam to biedactwo. Patrz, ja cy oni wynędniali, każda kosteczka przegląda im przez skórę i prosi miłosierdzia. Tfu! aż mi w oczach słono; ale duch się tam jeszcze w nich kołacze. Chodźcie tu, chodźcie! Wyjedliście wszystkie szczury i koty, a nawet liście objedli z drzewa. Wiedeń taki czysty, że muchy trudnoby żywój spotkać. A nie jédz tak zapalczywie, bo się udławisz. Otóż masz, to biedactwo tak pożera, jakby się jeszcze przed przyszłym oblężeniem zabezpieczyć chciało. Powoli jédzcie, wszakże już turek nad karkiem wam nie stoi. (*Wchodzi Elżbieta, biała, stara, wynędzniała, zaleknie na nogach utrzymać się może*).

SCENA 2.

Cięż.—Matka Elżbieta.

1 z ludu. Matko Elżbieto, matko Elżbieto, chodźcie tu; Herr Kulczycki nakarmi was i dzieci wasze.

Elżbieta. Ja już nie mam żołądka. Ot, turcy mi żołądek zabrali.

1 z ludu. Co bo wy mówicie, pójdźcie-no! Jak podjecie sobie dobrze, to poczujecie żołądek. Wróci on znowu na swoje miejsce.

Elżbieta (*napół obłąkana*). Ale czy wróci mi mojego Karola, Gustawa, Frytza mądrego? Wróci mi zięcia mego, Albrechta? A Joasię moję wróci? Oh! bogdaj was zaraza dotknęła! Wojny! wojny! Ja nie chciałam wojny... Modliłam się do Boga przykładnie i rzemiosło nasze szło tak dobrze. Karol zbierał dwieście reńskich, Gustaw miał odbyt duży, mądry Frytz miał duży dom budować na Wohlzeile. Gustawa dzieci poumieraly z głodu. Wczoraj dałam im zupy z liści orzecha... głupie ludzie powiedzieli mi, że to dobre... nie mogły już jeść biédaki... pomarły mi... pomarły wszystkie. To nie tak, jak nasze stare żołądki... my byle ścierwo jeść potrafimy... ale te aniołki...

Kulczycki. Ot, to dopiero tragikomedia. Kobięto, temi twemi łachmanami i rozpaczą mogłabyś bogów z Olimpu wystraszyć.

1 z ludu. Ona już zwaryowała z rozpacz. Dwóch synów wzięto na wojnę, a trzeci tu zginął na wałach. Cóрка i dwoje dzieci pomarło z głodu.

Elżbieta. Dwoje razem; a Joasia, a Karol... a Gustaw? a Frytz najukochańszy... mądry Frytz, którego sam książkę głaskał po twarzy, jak wybudował tę kaplicę... i Albrecht jeszcze... nie, Albrecht żyje.

1 z ludu. Nie trapcie się, matko Elżbieto, Karl i Frytz może wróca. Wszak mówią, że parę tysięcy jeńców odbito turkom.

Elżbieta. Parę tysięcy? Prawda... Wdowa Szenan miała dwóch synów. Kowal Szulc miał jednego... a krawiec Braunfogel, a Jonasz szlifiérz... czekajcie, niech porachuje... (*Siada na stopniach kościoła, przez scenę w głębi przeciąga transport jeńców tureckich i wielbłądy obładowane łupami*).

1 z ludu. Patrzcie, patrzcie, wielbłądy obładowane tureckimi bogactwy... A ot, jeńcy pogańscy... Ha! psy turki... Hura na turków!

Elżbieta (*podnosząc się obłąkana*). Turki! Turki! gryźć! kąsać! żréc turków... Chodźcie, chodźcie za mną. Turki! Turki! (*biegnie za nią lud, Kulczycki powstrzymuje*).

Wszyscy. Hura na turków!

Kulczycki. Wara! Tam za murami trzeba ich bić było. Na bezbronych rzucać się nie wolno. Puścić ich.

Elżbieta. Gryźć, kąsać, żréc turków... Moje dzieci!

Kulczycki. Stójcie! To zwierzęta najokrutniejsze! (za sceną dzikie okrzyki, Kulczycki patrzy za kulisy przerażony). Mordują. Ta stara wiedźma poczuła w sobie herkulesowe siły. Hola! rozdzielcie ich. Nie nie słyszą i nie widzą, prócz zemsty. (Zeskakuje z wozu). Precz! wy dzikie bestye! I wy chrześcianami się mienicie? (woła z drugiej strony): Hola! na pomoc pójǳcie! (Wpadają z przeciwnej strony Frytz i jeńcy wiedeńscy).

SCENA 2.

Ciż i Frytz.

Frytz (wołając). Niklas, Józef, Augusta—chodźcie tu. Nie wolno zabijać bezbronnych.

1 z ludu (wracając). A oni nas nie mordowali? (Wracają wszyscy powoli, obciążeni łupami).

2 z ludu. Oho! to nasi wrócili.

Kulczycki. Piliście krew pogańską, szakale; teraz żałuję, że was obdzielił chlebem.

1 z ludu. To zemsta.

2 z ludu. Choć kropelka.

1 z ludu. Darujcie nam, Herr Kulczycki.

Kulczycki. Pał was kaci, toć i we mnie zakipiało. No, wóz wypróżniony. Kto jeszcze głodny, niech przychodzi do mego domu na Himelfortgasse.

Wszyscy. Vivat unser brave Pole! (Kulczycki wyjeżdża, wszyscy grupują się koło Frytza).

1 z ludu. Patrzcie, i Frytz kulawy wrócił.

Frytz. Tak, wrócił, sam jeden, bez brata. (Wchodzi Elżbieta).

Elżbieta. Zabiłam, zamordowałam! Za dzieci moje!

2 z ludu. Matko Elżbieto... ot, go macie.

Elżbieta. Frytz... a gdzie Karol, Gustaw?

Frytz. Dziękujcie, że mnie macie żywego. Przypatrzcie mi się dobrze. Wracam z piekła. No, kto mi powie, że się dobrze Wiedniowi nie zasłużył, temu wszystkie zęby wybiję. Umrzeć tysiąc razy, to głupstwo; ale patrzeć na to, co ja widziałem, to więcej, jak umrzeć. Oh! moja matko i wy, głodne a głupie szwabki, jużbyście tu wszyscy wczoraj we krwi się nurzali, gdyby nie Król Polski. Wczoraj miał być Wiedeń wzięty i byłby wzięty, tak, jakem Frytz Puxbaum. Popatrzcie na nasze bastiony i forty: wszystko w gruzach.

2 z ludu (pokazując na kościół). A ot, spojrzysz, gdzie się ich kule ogniste już dostały.

Frytz (patrzając). Ha! psy niewierne! utracili głowę świętemu Edwardowi. Majster Max będzie miał robotę; ale nie, niech tak zostanie na pamięć wieczną. Byłem u polaków, nakarmili mnie i napili. Mój Boże! jacy to dobrzy ludzie. Ot, przynoszę wam, matko, drogie rzeczy... bo to tam rozdają prawie wszystko. Masz, Augusta, ko-

rale drogie (*rozdaje*). Ty, Maryo, masz tu świecidla piękne... Dla ciebie, Berto, szal przyniosłem. Leżałem w namiocie tureckim na kupie złota głodny i spragniony i obrzydliwość mnie doń zdjęła. Co powieście? jednego pieniążka nie wziąłem, kiedy poczułem wolność.

2 z ludu. Szkoda.

Elżbieta. Wiész, że Minka i Pepi umarły wczoraj z głodu.

Frytz. Niechże im Pan Bóg da niebo. (*Odgłos dzwonów i bicie z dział. Wchodzą Ławnicy, Radzcy, Cechy i ustawiają się przy kościele*).

SCENA 3.

Ciż.—Ławnicy.—Radzcy.—Cechy, potem Burmistrz i Halabardnicy.

Rajca. Szljicie dziękczynne modły, wasz wybawca się zbliża. Upadnijcie przed nim na kolana, bo to wybraniec Boży.

2 z ludu. Czy prawda, panie Knobel, że widziano nad nim anioła, który zachęcał chrześcian do bitwy?

Rajca. Tak, prawda. Duch Boży nad nim się unosił.

Chłopak (*wpadając*). Teraz Król Polski u Augustyanów, a potem tu ma przybyć. (*Wchodzi Burmistrz i Halabardnicy*).

Burmistrz. Uczynicie miejsce wolne! Uczynicie miejsce wolne! Tą drogą od Grabenu będzie iść nasz wybawca. (*Halabardnicy ustawiają lud po obu stronach sceny, tak, że środkiem zostawiają wolne przejście; wchodzi Kulczycki i Liza*).

SCENA 4.

Ciż.—Kulczycki.—Liza.

Kulczycki. Pójdź Lisko, niech pozna Wiedeńkę naród polski. Niech rozdziawia oczy szeroko i wiedzą, że jeżeli polak głupstwo zrobi, to wie przynajmniej dla czego.

Liza. Ja zaś dlaczego je zrobiłam, to jakoś dotąd wytłómaczyć tego sobie nie mogę.

Kulczycki. I niech cię Bóg uchowa gdybyś się kiedy zastanawiać nad tém zaczęła, bo wówczas jużbyś mnie kochać przestała. Zdobyłem cię wstępny bojem tak, jak nasz Król Jegomość Wiedeń zdobył i dlatego kochać mnie musisz.

Liza. Niestety!

Kulczycki. Więc widzisz Liska... A powiem ci pod sekretem... tylko nie bierz tego bardzo do serca, bobyś zhardziła: że gdyby nie ty, to chyba niktby mnie tu nie utrzymał w naszym Wiedniu. Kiedym urzął naszych husarzy, jak za dzielnym Królem parli w obóz pogański, krew po staremu zagrała w żyłach i o małym się nie puścił w taniec... ale pomyślałem sobie, że oni i bezemnie dadzą radę, więcem przybiegł do Liski. Jednak ci powiem, że jak Wiedeń opuszczają

będą, to przywiąż mnie najsilniejszym łańcuchem, jeżeli chcesz mnie przy sobie zatrzymać.

Liza Ej, na nitce cię utrzymać potrafię.

Kulczycki. Tak myślisz. No, to wiedz dumna niemkini, że ja ruszam z nimi do Polski.

Liza. Bardzo dobrze, tylko mnie zabierzesz z sobą.

Kulczycki. Oh! ty moje słodkości—ale już chyba tu zostanie-
my. Nasz Król ocalił Wiedeń od turka... a jam go karmił jakim
umiał i pomagał w turbacyach. Król Jan za taki czyn wiekopomny
nic nie weźmie w nagrodę, chyba za powrotem burę sejmową... a mnie
dostał się łup bogaty... trzeba więc trząść te gruszki z drzewa (*ca-
łuje ją.*)

Liza. Przy ludziach!

Kulczycki. Co moje, to moje—a co komu do tego? A pamię-
taj przyjąć godnie mych braci, żeby nie powiedzieli w Polsce, że wien-
denki nicpotem (*wchodzi ksiądz Marek Avijano.*)

SCENA 5.

Ciż.—Ksiądz Marek Avijano.

Ksiądz Avijano. Wszędzie zniszczenie, ruina i nędza blada
wyszczerzają zęby. Cóż to za straszny wróg, co tylko kamień na ka-
mieniu zostawia. Niszczy wszystko i trawi jako ogień Sodomy. Oh!
na tak wielkiego wroga, trzeba było tylko takiego męża. I oto doko-
nał się w oczach Chrześcijaństwa cud, cud wielki, niesłychany i niewi-
dziany. Tak, gotujcie mu tryumfalne bramy, sypcie kwiaty pod stopy
jego... wszystkie jednak bramy... choćbyście ich aż pod strop niebieski
podnieśli, nie objęłyby tego potężnego ducha, jakiego on maż wielki
w sobie piastuje. Pójdźcie ludzie małego ducha, niedowiarkowie, fa-
ryzeusze kupczący sumieniem, cnotą i wiarą; opowiem wam cud, na
który się patrzyło tysiące chrześcijańskiego wojska, w czasie bitwy tej
wiekopomnej. Oto biały gołąb unosił się ponad hełmem polskiego
bohatera. Oto słońce żywszym zapłonęło blaskiem, jak ongi Jozuemu,
aby dokończył bitwy i dokończył jój tak, jak jeszcze żaden wódz świa-
ta, bo jednym zamachem miecza swego, uciął łeb pogańskiej hydrze.
(*Thumy cisną się naokoło księdza; wchodzi Silberglück.*)

SCENA 6.

Ciż.—Silberglück, potem marsz tryumfalny.

Frytz. Patrzcie, patrzcie, pan Silberglück.

1 z ludu. To ważna osoba.

Frytz. Wysłany od Cesarza.

1 z ludu. Zjawia się na ucztę.

Frytz. Czemuż ich wtenczas nie było, kiedy nas turcy zjeść
chcieli?

1 z ludu. Zlatają jak kruki na ścierwo.

Frytz. Rozmawia z burmistrzem i rajcami; cóż on im powie?

Silberglück (*do burmistrza i rajców*). Zapominacie, cóście winni panu swemu. Zanadto wielki hołd Królowi Polskiemu będzie ujmą dla waszego Cesarza.

Rajca. A gdzież był Cesarz, panie Silberglück, gdyśmy tu marli z głodu, zabijani, męczeni jak psy?

Silberglück. Głupi motłochu... a czyjémże dziełem ocalenie wasze? Kto przemyślał jak ojciec nad dziećmi, aby wam i téj stolicy swojej, zagrożonej zapewnić ochronę? Jedni władają mieczem, bo są do tego stworzeni, a tych używają ci, co mają rozum od nich większy; ojcowskiej to pieczy JCMOści zawdzięczacie swe życie i mienie.

Rajca. Nie wszystko można wysmażyć w gabinecie. Temu, który krwi i życia dla nas nie szczędził i który cudowném ramieniem swoim ocalił nas i Chrześcijaństwo, należy się hołd, równy samemu Bogu.

Silberglück. Dobrze więc, krzyczcie, niech wam popękają gardziele, ale pamiętajcie że niewdzięcznych pominie sprawiedliwa ręka pańska.

Rajca. Niewdzięczność, to nie nasza cnota; urodziła się ona tam przy bankietowym stole waszym, podczas gdyśmy tu krwawy harc przelali.

Marsz tryumfalny. Odgłos trąb i dzwonów. Wchodzą Król Jan z chorągwią turecką, Królewicz Jakób, Elektorowie, Starhemberg, Hetmani polscy, Senatorowie, Rycerstwo polskie, Panowie niemieccy. Król Jan wychodzi z ostatniej kulisy na lewo. Okrzyki: „Niech żyje Król! Vivat Salvator!” Przez cały czas pochodu do kościoła różne osoby cisną się doń całując go w ręce i w nogi. Król się zatrzymuje, przemawiając po słów parę. Muzyka gra ciągle aż do wejścia do kościoła. W kościele głos organów i Te Deum. Przez chwilę na scenie cisza. Wchodzi Silberglück.

Silberglück. Patrzcie-no ludzie, czyja na tym pieniądzu głowa?

Frytz. Czyjażby? cesarska.

Silberglück. Cóż za ten pieniądz kupić można?

Frytz. Wszystko.

1 z ludu. Ojca i matki zań dostanie.

Silberglück. Więc ten, który temi pieniędzmi uszczęśliwia ludzi, jest ich panem samowładnym i ojcem i więcej jak ojcem, bo im daje sposób, aby być szczęśliwemi na ziemi.

1 z ludu. Prawda.

Silberglück. Powiedziałeś że ojca i matki zań dostanie.

Frytz. Nie zawsze; czasem kawałka chleba zań kupić nie można. Wczoraj ten gulden nie wart był krajcara.

Silberglück. W ręku tylko takich głupców jak ty, ale w ręku rozumnego człowieka wart on zawsze, bo ten, który te pieniądze bije, daje im moc niezwykniętą.

Frytz. Czemuż niemi turków odpędzić nie potrafił.

Silberglück. A, głupia głowo, a któż rozpedził turków? gulden austryacki.

Frytz. To zaczyna być ciekawém.

Silberglück. Czy ty myślisz że guldenem, jeżeli zań ojca i matki, jak powiadasz dostanie, nie można także kupić sprzymierzeńca?

Frytz. Można—tylko Pana Boga nim nie kupić. Schowajcie panie tę kieskę, może się ona przydać dla waszych piesków; tu między poczciwymi wiedeńczykami łotra nie znajdziesz. Ażebyście zaś wiedzieli, że i my nie w ciemię bici, to wam tu pokaże całą garść złotych polskich, na których uwieńczona głowa bohatérskiego Króla i które jak relikwią każdy wiedeńczyk dla wnuków swoich zachowa. Wiemy, o co idzie JCMości, ale jego Majestat nic a nic na tém nie straci, jeżeli tu przed zbawcą swoim upadną w proch wdzięczni mu wiedeńczycy.

Silberglück. Podły, zbuntowany motłochu!

Frytz. Hola! wynoś się kundlu zkądś przyszedł, bobyś te galony złote po ziemi zbierać musiał. *(poruszenie w tłumie; Silberglück ucieka).*

Frytz *(wskazując na kościół)*. Mój Boże, dla takich wielkości tylko w niebie zapłata. Świat prócz błota nic im dać nie potrafi. *(grupują się wszyscy przy Frytzu, który im opowiada; z kościoła wychodzą: Kulczycki, Liza, Diakowski, Rubinkowski, Rączkowski, Polacy).*

SCENA 7.

Lud. — Kulczycki. — Diakowski. — Rubinkowski. — Rączkowski. — Polacy.

Kulczycki. No, panowie bracia, czas téż wielki oddać się uciechom i zabawie. Ot dom mój czeka na przyjęcie wasze. A to przyszła gospodyni, moja hic mulier, co mnie dzierży za czuprynę.

Diakowski. Daj go katu, takiéj nadobności nie dziw, że się nie oparło sarmackie serce.

Rubinkowski. Najmiększe téż to serca sarmackie, najmiększe, począwszy od naszego Króla.

Kulczycki. No, więc się nie bardzo dziwicie, że tak Wiedeń polubił.

Diakowski. Ale nie... dziwimy się tylko, że lubo tak młoda i piękna, na waścinyh przymiotach się poznała.

Kulczycki. Ba, bo téż to rozum, serce i wszystko w porządku u téj niewiasty.

Rubinkowski. A jakże dzieci swoje wychowasz.

Kulczycki. Nie rumień się tak Liska, to przyjsć musi, a jak przyjdzie, da Bóg, polakami będą.

Diakowski. Trudnoż cię tu ganić, mój Tomaszu, żeś urokowi tój nadobnej panny oprzeć się nie mógł. Szkoda tylko ojczyźnie tak dzielnego człowieka.

Kulczycki. Można jęi poza granicami służyć dobrze; wy szablą, ja mózgownicą. Dom mój to gospoda dla biédaków, jakim ja byłem kiedyś, a gdyby ojczyzna zawołała na mnie, to i ona za mną dospiesz: prawda Liska.

Liza. Tak.

Frytz (*zbliżając się*). Ale może my was nie puścimy, panie Kulczycki. Ojczyźnie waszój nie zabraknie ludzi, a tu po was Wiedeń płakałby cały.

Kulczycki. Bóg wam zapłać: to upominek weselny.

Diakowski. Zawstydzają nas niemcy... a cóż my ci damy na te gody?

Kulczycki. Serdeczne uściśnienie.

Rubinkowski. Bóg ci błogostaw; szkoda tylko, że ten, który ci przyrzekł dzielić uciechę z nami, nie będzie.

Kulczycki. Pan Miecznik.

Rubinkowski. Płacze z synem na mogile swój córki, którą znalazł zabitą w wezyrskim namiocie.

Kulczycki. O! Fortuno straszliwa; jednych obdzielasz, drugich obdzierasz: biedny starzec.

Rączkowski. Otóż i Król Jegomość.

SCENA 8.

Ciż.—Król Jan i całe jego otoczenie.

Burmistrz (*we drzwiach kościelnych*). Monarcho niewyciężony... Najjaśniejszy Królu Polski! Wyszedłeś z tój świątyni, która do dziś dnia, niestety! nosi na sobie ślad muzułmańskiej potęgi... Oto ich go-dło: półksiężyca. Wisi tu ono od pierwszego oblężenia w roku 1529, kiedy sułtan Soliman zagrażał temu miastu. Muzułman zawarował sobie traktatem, że zdjąć go nikomu nie wolno, grożąc wojną. Obawiano się i szanowano ten rozkaz, ztąd wrodziła się w ludzie naszym legenda, że raz jeszcze turek w Dunaju wiedeńskim konie poić będzie, a Wiedeń dwanaście tygodni jęceć będzie w głodzie i w niewoli wielkiej, aż zjawi się w świecie mąż, tak wielkiej wiary i siły, że stanie na wiedeńskich górach z krzyżem w jednej, a mieczem w drugiej dłoni, a będzie przy nim dwunastu ksiąząt chrześciańskich, jako dwunastu apostołów i dwunastego dnia się to spełni i z trupów pogańskich uczyni sobie most do Wiednia i po moście tym przyjdzie do tego kościoła i dzwony same odezwą się dłań i organy hymnu mu wydzwięczą, a kościół i cesarstwo staną potężniejsze jak były i wtenczas to on zrzuci ten znak i zdepcze go nogami. Spełnione proroctwo; lecz tego znaku nikt z śmiertelnych dotknąć się nie waży, prócz ciebie potężny Monar-

cho... jakieś tedy Wiedeń oswobodził od turka, tak kościół nasz uwolnij od znaku hańby... błagamy cię o to na kolanach.

Król Jan. Chętnie! *(zrzuca mieczem znak półksiężycą nade drzwiami, który mu przy nogach pada. Okrzyki ludu. Kulczycki z Lizą po chwili występują przed Króla).*

Kulczycki. Królu mój miłościwy, zakończ ten akt wspaniały chwały twój wiecznej i potęgi—uszcześliwieniem dwojga ludzi.

Król Jan. To pan Kulczycki. Cóż mi to aść za kwiatek prezentujesz?

Kulczycki. Moja narzeczona, miłościwy panie; trzeba było oto dies feralis, ażebym ja włóczęga aż tutaj znalazł tę gałązkę, na której drzewo Kulczyckich szczepić zamierzam *(klękają)*. Pobłogosław nas panie.

Król Jan. Wszystko, co waść poczynasz, poczynasz dobrze i mądrze i tu powinszować ci tylko mogę. Błogosławię was, a na weselu wypiję zdrowie panny młodej. *(podaje rękę Lizie, którą ona całuje).*

Okrzyki. Vivat! Vivat Król Jan III.

AKT V.

Równina pod wioską Schwehat, w głębi sinieją góry, kilka rozbitych namiotów.

SCENA 1.

Wchodzą Cesarz w rozmowie z Silberglückiem.—Książdz Marco Avijano.—Elektor bawarski.—Książę lotaryngski.—Marszałek dworu.—Ministrowie.—Dworzanie.

Silberglück. Te wystrzały, które tu WCMość wczoraj słyszała, to były tylko wiwaty dla zwycięzcy. Wszystkie dzwony tłukły tak, że o mało im serca śpiżowe nie popękały; a ten motłoch włókł się za nim na kolanach i kwiatami wieńczył mu drogę.

Książdz Avijano. I czyż mogło być inaczej. Któż wdzięczne serca ludzi uhamować potrafi? Wczoraj jeszcze zrozpaczeni i biędni, dziś wolni i szczęśliwi za sprawą wielkiego człowieka, jakże takiemu nierzucić serca pod nogi.

Cesarz. Czyż on jeden tylko zasłużył na ten tryumf? a moiż wodzowie i sprzymierzeńcy?

Książę lotaryngski. Zrzekamy się chwały wszyscy na korzyść jego. On był duszą téj walki, on téż dokonał zwycięztwa.

Cesarz. A jaż nic nie znacę u moich ludów? ja, który tułam się jak rozbitek i nie mogę trafić do mojej stolicy, bo raz ją turek oblega, a potem zwycięzca tryumf w niej swój odprawia. I to wszystko zawdzięczam mądrej radzie... (wskazując na jednego z ministrów), ot, takich.

Minister. Najjaśniejszy Panie! radziłem szczęście ludom twoim... ale czyż mogłem przewidzieć, że ich niewdzięczne serca ocenić tego nie potrafią.

Książdz Avijano (n. s.). Dziwnaż to logika samolubstwa; poczytują za występki to, co cnotą się nazywa.

Książę lotaryngski. Daruj WCMość chwilowe uniesienie, które nacisk okoliczności wywołał. Gdybyś, Najjaśniejszy Panie, ujrzał te blade i wynędzniałe twarze z głodu straszne i męczarni, nie

dziwiłbyś się ich radości na widok podwoi szczęścia, jakie rozwarto przed niemi.

Cesarz. Niczemu się już nie dziwię, tylko łatwowierności mojej, to też na drugi raz ostrożniejszym będę. Teraz na cóż czekamy? Wszakże nam wolno już wejść do naszej stolicy?

Książę lotaryngski. Zapominasz, Najjaśniejszy Panie, że tu ma być plac spotkania z Królem Polskim.

Cesarz. Któż to postanowił? gdzie i kiedy?

Książę lotaryngski. Ty sam, Najjaśniejszy Panie.

Cesarz. Konieczniź się to z nim widzieć muszę?

Minister. Tak wypada, Najjaśniejszy Panie, dla świata.

Cesarz. Milcz pan! Nie żądamy więc rad twoich. Możesz, hrabio, zaniechać nadal naszych usług. Jedź do dóbr swoich, świeże powietrze korzystnie wpłynie na twój umysł. Żegnamy cię.

Minister. Jestem posłuszny (n. s.). To wyrok mojej śmierci. (*Oddala się*).

Cesarz. Zuchwały! Dla świata! Świat jest głupi, kiedy takie rzeczy doradza. Nam nie dla świata, ale dla powagi naszej cesarskiej działać trzeba.

Silberglück. I dla korzyści państwa, Najjaśniejszy Panie. Gdyby mi wolno było uczynić pokorną moją uwagę.

Cesarz. Mów, Silberglück; choć nie należysz do liczby moich doradców, ale rozum twój wysoko cenię.

Książę Avijano (n. s.). Więć ta żmija teraz w słońcu łaski pańskiej wygrzewać się będzie.

Silberglück. Dzięki ci składam, Najjaśniejszy Panie. Otóż z Królem Polskim radziłbym spotkanie, choćby dlatego, żeby go do dalszej wyprawy nie zniechęcić.

Cesarz. A któż ci powiedział, że ja pragnę, aby się dalej posuwał. Niech wraca do domu. Gotów z węgami wejść w konszachty. Sam teraz turków wypędzić potrafię.

Książę lotaryngski. I tak WCMość chcesz odprawić Króla bohatera, który ci tron zagrożony przywrócił; wielkiego sprzymierzeńca, który nie żałował krwi swojej i swoich poddanych, który wreszcie własne korzyści podeptał, aby ciebie ratować?

Cesarz. Żołnierskim językiem przemawiasz, Mości Książę, snąc w obozach zatraciłeś polor wielkiego świata.

Książę lotaryngski. Daruj WCMość; w obozach czystsze, szlachetniejsze wieje tchnienie, niżeli w twoich dworaków kole, którzy tylko jady trujące do uszu pańskich sączą. Dzieliłem trudy i niebezpieczeństwa z tym bohaterskim narodem i nie wahałbym się i chwili hołd winny Królowi jego okazać.

Cesarz. Ty... ale nie my.

Książę Avijano. Najjaśniejszy Panie, jesteś apostołem Kościoła świętego; pomnij WCMość, że to były dlań Atylli dni straszliwe; ten wielki mąż ocalił Chrześcijaństwo.

Cesarz. Cóż Wasza Elektorska Mość na to powie?

Elektor bawarski. Racz WCMość poradzić się serca swego, a ono pewnie nie omyli.

Cesarz. Serca, serca. Złym politykiem jesteś, książę; tu o majestat mój chodzi. Jakiż ceremoniał spotkania ułożycie panowie? któraż mam rękę podać?

Książę lotaryngski. Przyjąć go w otwarte ramiona.

Cesarz (*nie zważając*). Przecież nie prawą. Król elekcyjny. Panie marszałku, jakież są formy w tym razie?

Marszałek. Napróżnom badał i szukał w zapiskach dworskich i w pamięci, Najjaśniejszy Panie. Bywały spotkania z królami polskimi, panami dziedzicznymi, z Bożej łaski spokrewnionymi z domem WCMości; ale z elekcyjnym z woli narodu i z narodu wybranym nie było. Wreszcie hrabia Schaffgotsch wysłany już, aby zbadał, jak postąpić wypada, i ma już instrukcyą WCMości.

Cesarz. Prawda, zapomniałem, że już postanowiono. Czekajmy więc na Schaffgotscha. Panie Silberglück, jakżeś znalazł nasz Burg stary?

Silberglück. Ani jednej całej szyby w oknach. Pawilon od strony bastyonu, jak i bastyon cały, w gruzach. Ptaszarnia WCMości spalona. Ogród i zwierzyniec służył za pastwisko baranom i wielbłądom pogańskim.

Cesarz. Okropne!

Ksiądz Avijano. Nie mówisz pan nic o strasznych klęskach biednych ludzi, których domy w perzynę obrócone. Wszystkie przedmieścia spalone. Nie mówisz nic o męczarniach głodowej śmierci. Widziałem całą rodzinę wymarłą: matkę, ojca i troje małych dzieci. Żywiło się to wszystko zatrutą wodą i liśćmi z drzew twego parku, Najjaśniejszy Panie.

Cesarz. Ach! to przerażające! Ojcie Avijano, za powrotem naszym pozwalam ci czerpać z mojej szkatuły, ile ci się podobać będzie, aby żyły otrzéc tym biédakom.

Ksiądz Avijano. Dzięki ci składam pokorne, Panie.

Cesarz. Biedni ludzie, nie zasłużyli na tyle nędzy. Panie marszałku, czy przepis etykiety pozwala nam zwiedzać niektóre z dzielnic, gdzie nieszczęśliwi ci przebywają?

Marszałek. Dotąd mianowani bywali szczególni urzędnicy do tych poruczeń; a wybierani przezemnie z woli monarchy.

Cesarz. A to niech już tak zostanie.

Ksiądz Avijano. Pomień WCMość tą razą etykietę, a uszczęśliwisz swoich poddanych. Widok twego oblicza więcej pocieszy tych nieszczęśliwych, niżli datek największy.

Cesarz. Nie mogę, Ojcie. Któż ku nam zdąża?

Marszałek. Hrabia Schaffgotsch. (*wchodzi Schaffgotsch*).

SCENA 2.

Ciż i Schaffgotsch.

Cesarz. Cóż nam przynosisz, hrabio?

Schaffgotsch. Król Polski się zbliża aby powitać WCMość.

Cesarz. Czyś nadmienił o ceremoniale naszego spotkania.

Schaffgotsch. Tak jest, Najjaśniejszy Panie. Król Polski nie urodzony na tronie i widocznie nie przywiązuje wagi do oznak majestatu. Nie mogłem się porozumieć. Zrazu był zdziwiony, potem oświadczył: „Jeżeli to tak dużo ma kosztować waszego pana, to możemy zaniechać spotkania; sądziłem wszakże, że jemu raczej wypadłoby mnie poszukać, aniżeli mnie wlec się z wojskiem i gonić za jego podziękowaniem.” Uśmiechnąłem się tylko na tę rubaszną definicyą i oświadczyłem, że jemu, jako młodszemu przystoi przybliżyć się do WCMości, a WCMość nie zaniechasz postąpić ku niemu. Co się i stanie lada moment, bo tylko o jeden wystrzał armatni poprzędzam orszak Króla Polskiego.

Cesarz. Miejmyż się na baczności, aby w niczem nie uchybić ceremoniałowi.

Książdz Avijano (*n. s.*). Wolałbym ten ceremoniał podeptać, aniżeli na niewdzięczność zasłużyć.

Cesarz. Czy Królowi Polskiemu towarzyszy kto z książąt?

Schaffgotsch. Jedzie tylko na czele swoich wodzów i panów, a ma przy boku syna.

Cesarz. Nie uznany następcą przez naród, to osoba nic nie znacząca. Podajcie mi lunetę (*podają; cesarz patrzy*). Pięknie wygląda ten orszak. A ten Król ma isticie bohaterską postawę. Cóż, kiedy to tylko Król wybieralny. Po przywitaniu radbym obejrzeć jego wojsko.

Schaffgotsch. Rozłożone na drodze, którą WCMość przejeżdżać będzie.

Cesarz. Wydać rozkazy, ażeby wszystko natychmiast było gotowe do podróży. (*odgłos trąb; wchodzi: Król Jan, Królewicz Jakób, Panowie polscy. Cesarz postępuje parę kroków ku Królowi, uchylając kapełusza prawą, podaje lewą rękę. Król Jan zdejmuje kołpak lewą a podaje prawą.*)

SCENA 3.

Ciż.—Król Jan.—Królewicz.—Panowie polscy.

Cesarz. Miło mi powitać was, dostojny bracie, w dobrém zdrowiu.

Król Jan. Równie jak i mnie was, bracie.

Cesarz. Jestem szczęśliwy, że waszę dłoń uściskać mogę.

Król Jan. Szczęścia tego i ja już dawno pragnąłem, ale srogość wojny rozdzielała mnie od WCMości.

Cesarz. Pozwól sobie podziękować.

Król Jan. Mój bracie, miło mi żem tę małą uczynił przysługę. *(przedstawiając mu Królewicza, który oddaje niski ukłon.)* To syn mój.

Cesarz *(patrzy nań obojętnie)*

Król Jan. Chowałem go, aby był wzorem rycerzy i zawsze gotowym do wysługi Chrześcijaństwu.

Cesarz *(j. w.)*.

Król Jan *(z pewnem nieukontentowaniem)*: Oto panowie polscy. To wojewoda bractawski Sapieha. Wojewoda bełski Koniecpolski. Wojewoda pomorski Denhoff. Koniuszy koronny Matczyński. *(wszyscy się kłaniają głęboko, z odkrytymi głowami. Cesarz lekko potakuje głową; Denhoff się zbliża, chcąc upaść do kolan cesarzowi; Król Jan go wstrzymuje).*

Król Jan. Wojewodo! bez podłości. *(do cesarza)* Może wola WCMości obejrzyć wojsko. Panowie hetmani mają rozkazy, żeby je sprezentować.

Cesarz. Chciałbym zobaczyć te zastępy mężnych obrońców wiary świętej. *(Ten sam ceremoniał ukłonów ze strony Monarchów. Panowie nie zdejmują już czapek. Król Jan z Cesarzem i jego otoczeniem, z Królewiczem Jakóbem odchodzą).*

SCENA 4.

Koniecpolski.—Sapieha.—Panowie.

Koniecpolski. Tandem! oswobodzenie Wiednia nie warte było ukłonu kapeluszem JCMości.

Sapieha. A cóżby świat powiedział na to, aby tak potężny mocarz miał za co komu dziękować. Bogu on tylko dzięki składać może.

Koniecpolski. Jeszcze wczoraj nie miał swojej stolicy.

Sapieha. To też wczoraj grzeczność ich graniczyła z podłością, a dziś niewdzięczność w otwartą nienawiść się wyradza.

Koniecpolski. Wszystkie drzwi przed nami zamykają, jak przed zarazą; na polu gołym każą umierać tym, co dla nich krew lali.

Sapieha. Zawiele są nam winni. *(wchodzą Król, Królewicz, Sieniawski).*

SCENA 5.

Ciz.—Król Jan.—Królewicz.—Hetman Sieniawski.

Król Jan. Szlachetna дума przystoi szlachcicowi, ależ niegrzeczności nie spodziewałem się po was, panie hetmanie.

Sieniawski. To nie była niegrzeczność, odpłaciłem tylko równą monetą. JCMość znać mnie nie pragnął, więc i ja nie mam ochoty poznać JCMości... a potem, dla mnie, ty panie jesteś Królem; innych nie znam i znać nie potrzebuje.

Koniecpolski. Nie zawadzi, Miłościwy Panie, ta lekcya grzeczności, jaką dał pan hetman JCMości.

Sieniawski. Obecnie śmiem zapytać Miłościwego Pana, kogo teraz ratować pójdziem? Czy niemców, którzyby nas radzi w łyżce wody utopić? Czy węgrov, przeciwko którym niedawnośmy z niemcami byli w sojuszu.

Król Jan. Sojusz trwa. Związaliśmy się nim, aby ratować Chrześcianaństwo od pogan i ratować je będziem, panie wojewodo.

Sieniawski. Toćeśmy je już uratowali i jakąż wzięliśmy podziękę od dostojnego sojusznika WKMości? Ukłon kapelusza był za drogi.

Król Jan. A gdzież zapłata albo podzięką dla nas? — Tylko w Bogu! w sumieniu! I któryż mocz, albo pan świata potrafiłby zagrozić w nas zwyciężkiego ducha? i jakież podzięką starczyłyby w zapłatę tego, cośny zdziałali? Wstyd panowie! Czyśmy po to przyszli pod Wiedeń, ażeby pałac Cesarski ocalić? Czyśmy żądni byli nagrody albo podzięką jego? Ginące Chrześcianaństwo zawołało na nas ratunku i pospieszyliśmy, jak na rycerzy krzyża przystało. Bóg nam pobłogosławił, a teraz Go prośmy, aby dalej użyzczał swęj łaski, bo walka nasza nieskończona. Dopóki jedna noga niewiernych na ziemi chrześcijańskiej, nie złożę oręża w pochwę.

Sieniawski. Nie uczynisz tego, Panie, i nie poprowadzisz nas na zgubę pewną.

Król Jan. Co mówisz panie hetmanie? (*wpada Rubinkowski*).

SCENA 6.

Ciz i Rubinkowski.

Rubinkowski. Hańba! Ohyda!

Król Jan. Cóż się stało?

Rubinkowski. Myśmy dziś dla nich gorsi od turków; pożywienia ni dla ludzi, ni dla koni; iskry miłosierdzia dla rannych i umierających. Kropli wody nie dostaniesz, dopóki jęj nie wydrzesz. Cała nasza chorągiew obumiera z pragnienia i głodu.

Król Jan. To kolej ludzkich rzeczy. Chcielibyście waćpanowie, ażeby lud biedny i znękany po stokroć przez turka i węgrov dzieilił się z wami tém, czego sam nie ma, żeby wam oddał lepsze kąski, a sobie gorsze zachował?

Rubinkowski. Możnaż wszystko wytłómaczyć na dobre, Miłościwy Panie, ale tēj złości strasznej, jaka dziś w tych ludziach, trudno. A toć my dla nich kraj zdobyli.

Król Jan. Teraz będziem zdobywać dla siebie.

SCENA 7.

wchodzą Miecznik.—Stanisław.—Towarzysze.

Miecznik. Oto cielskiem mojem zagrodzę ci drogę Miłościwy

Królu. Tu mi raczej mogiłę usyp i tu niech będzie granica pochodu twego.

Król Jan. Co mówisz, panie Mieczniku?

Miecznik. Nie pójdziesz dalej, Królu. Spełniłeś wszystko, co bohater chrześcijański mógł spełnić. Nie marnuj sił narodu na bezowocną wyprawę... myśl o swoich, tak jak oni o sobie tylko myślą.

Król Jan. Starcze nad grobem! Rycerzu posiwiały w wojnach pogaństwa. Ty, któryś w méj duszy zemstę zaprawiał dla nich. Ty mi taką radę dajesz!

Miecznik. Ja, Królu, bo pięćdziesięcioletniem doświadczeniem mierzę drogę, którą teraz przebyć zamýślasz i widzę jasno kres jej. O Polsce myśl, Panie. Jakiś złamał potęgę turka pod Wiedniem, tak ją złam w własném gnieździe. Nam nie gonić po obcych ziemiach za wawrzynem rycerskim, nam trzeba stać na straży świętości naszych i bronić każdej piędzi téj ziemi, co krwią tyłu męczenników przesiąkła. Ty będziesz się uganiał za uchodzącym turkiem, a tam tatarska horda będzie rwała naszą ziemię i znaczyła pożogą i jasyrem swój pochód. Spełniłszy nasz obowiązek.

Sieniawski. Słuchaj Panie, słuchaj tego starca... wszak oni to sami niewdzięcznością swoją powinni ci zagrozić drogę.

Król Jan. Ludzie małego ducha; chcecie piękne dzieło, jakie nam Opatrzność przeznaczyła, w połowie tylko spełnić? Mamyż nie pogonić za uciekającym wrogiem i nie zgnieść go doszczętnie, żeby po naszym sromotném odejściu wrócił się tu i zniweczył to wszystko, cośmy dotąd zdziałali?

Miecznik. Już on tu nie wróci, ale siłami, jakie mu jeszcze zostały, zionie w Polskę. Tam trzeba nam skupiać siły wszystkie, tam wydrzeć nam tę ziemię, którą dzierży, urągając nam haniebnie; tam oczekiwać jego zastępów, a jeżeli ginąć przyjdzie, ginąć na progu własnego gniazda. Oh! Królu, nie dozwól, ażeby kości nasze bieleły na obcych polach, nie dozwól, byśmy ginęli w tęsknocie i rozpaczy tu, gdzie litościwej dłoni nie znajdzie, coby nam oczy przymknęła. Błagamy cię, Panie, z głębi duszy. Patrz... ja starzec, com w tyłu bitwach nie zadrzał nigdy przed śmiercią... ja, co całą siłą méj duszy pomagałem wyprawie, dziś wołam, nie chodź dalej Panie! bo tam pogrzebiesz to wszystko, coś zdobył pod Wiedniem, bo tam będzie grób naszej chwały. (*wchodzi Diakowski*).

SCENA 8.

Ciż.—Diakowski.

Diakowski. Skończył pan Kasztelan, pan Podkomorzy dogorywa. Połowa prawie naszej chorągwi osłabła z ran i choroby.

Król Jan. Choćby nas większą połowę śmierć zabrać miała... podążym z mniejszą, dopóki ja żyć będę; bo pamiętajcie: dom daleko, a zwycięstwo mamy pod ręką.

Miecznik. Pójdźcie, pójdźcie rycerze za Królem waszym; ale pomnij Panie, że być ojcem i opiekunem narodu przysiągłeś, biorąc to berło, i że każda krzywda jego na twojem sumieniu zacięży.

Król Jan. Tak, jam królem i opiekunem waszym; jam to berło, któreście mi powierzyli, przyozdobił blaskiem wiekowej sławy i nie splamię go nigdy małodusznym, nikczemnym czynem. Idźcie niechętni do pierzyn waszych. Idźcie tam, do téj falangi malkontentów i wraz z nimi oczerniajcie moje imię... ale kto kocha honor i sławę, pójdzie za mną. (*Milczenie*). Nikogo! Więc to są rycerze z pod Chocima, Lwowa i Wiednia... i ty starcze, ty, coś w trzydziestu bitwach okrył się sławą, ty, któryś całe życie był tak dumny i czystym, żeś nie przyjął nigdy podziękii... tyś potrafił wlać zwątpienie w ich dusze. Dobrze... sam z mojem dzieckiem rzucę się w tłum pohaniców, bo wolę zginąć zaszczytnie, niż półrycerzem wracać i patrzeć na tryumf niewiernych.

Miecznik. Wstrzymaj się Panie, toć my nie podłe zwierzęta. Pójdziem choć w piekło z tobą.

Wszyscy. Niech żyje Król!

Miecznik. To, co w wyrokach Bożych zapisane, tego nie w ludzkiej mocy zmienić. Przebac mi Panie, słabe moje oczy nie zdołały dopatrzeć wielkich twoich zamiarów. Jam tylko umiał służyć Polsce i dla niej nieść ofiary. Jam rozumiał, że obowiązkiem szlachcica i rycerza polskiego było nieść dla téj ukochanej ojczyzny wszystką krew i życie całe, a przez to przyczyniać się do jej blasku i chwały. Ty, Panie, wzrokiem orła szersze obejmujesz obszary. Bóg błogosławił twój pracy. Umierając nawet, nie będziemy ci zlorzeczyć, bośmy poszli za królem swoim. (*Wchodzi Schaffgotsch*).

SCENA 9.

Ciż i Schaffgotsch.

Schaffgotsch. Jego Cesarska Mość posyła w darze Najjaśniejszemu Królewiczowi Jmci tę szpadę kamieniami drogiemi wysadzoną i przeprasza WKMość, że jego powitanie z powodu etykiety dworskiej nie było tak serdeczne, jakby z duszy pragnął.

Sieniawski (*n.s.*). Nauczka w las nie poszła.

Król Jan. Podziękujcie, proszę, JCMości i zapewnijcie go o moich głębokich afektach. (*Do wojska*): Dalej, na pole sławy, rycerze, nie dla doczesnych dziękczynień, które jak wiatr marcowy, ale dla dziejowej karty, na której chlubne znajdziemy miejsce!

Wszyscy. W Imię Boże!

E P I L O G .

Dworek Miecznika.—Wielka komnata—w głębi dwa okna, przez które widać zimowy krajobraz, pokryty śniegiem.—Między oknami obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który oświeca lampka wisząca. Z lewej, w pierwszym planie duży komin, na którym ogień—przy kominie duże krzesło, stół, stołki. Dwoje drzwi po bokach z lewej, do dalszych komnat, z prawej główne wejście.

SCENA 1.

Miecznikowa—Hanna siedzą przy kominie. Miecznikowa w dużym krzesle, Hanna przy krosnach.

Miecznikowa. Cóżes mi tak zwiesiła główkę i przestała szczebiotać?

Hanna. Smutno mi jakoś, matko; tam zawierucha szaleje, że i świata Bożego nie widać. Jakże to okropnie tym, co dachu nie mają nad głową.

Miecznikowa. Stokroć okropniej tym, co pod dachem robak smutku duszę im wierci, a najszczęśliwi ci, co w cichój śpią już mogile.

Hanna. Oh! nie mówcie tak, matko. Przebaczcie! winnam, że miasto wam trochę tego smutku umniejszyć, ja niebaczna powiększam go jeszcze.

Miecznikowa. Nic to, nic, moja dziewczeczko; trudnoż sercu rozkazać, aby się śmiało zawsze, kiedy niepokój je trapi. Ale się nie smuć, kochanie; wróca, wróca dla ciebie dni jasne i pogodne. Będziecie szczęśliwi. Na ruinach i zgliszczach młode pokolenie rozrośnie bujnie. Ta ziemia, użyźniona krwią męczenników tyłu, będzie rodzić w spokoju i szczęśliwości dla was, dzieci. Turecka potęga złamana! Wiiesz ty, co to znaczy? To spokój, to szczęście dla naszych chat i dobytków, to melodia słodka dla serca przerażonego wieczną trwożą. To sen cichy u wezgłowia matek i ojców. To radości hymn, który wszystko stworzenie śpiewać będzie. Oh! zapytaj tych ścian, ile one

łez moich widziały. Zapytaj, ile tu bezsennych nocy strawiłam w niepokoju i czuwaniu!

Hanna. O! droga matko!

Miecznikowa. Tak, nowe już przyjdą czasy, gdzie wolno będzie sercu uderzyć do miłości, do radości i szczęścia. Myśmy takich nie znali; myśmy nieustannie czuwali na tych kresach w obronie życia i wolności. Jeżeliśmy do nieba wzniesli oczy, to po to tylko, żeby łunę pożaru zobaczyć. Wiatr stepowy przynosił nam tylko przerażone jęki nieszczęśliwych i wycia pogan dzikich. Prawie każdy rok kiem żałoby okrywał nasz dworek. Zaledwie pisklęciu skrzydła odrosły, już odlatywał od matki bronić granic własną pierśią i nie powracał więcej. I tak ich czterech straciłam. Los nieubłagany okrutnie znęcał się nad domem naszym. Dwie moje ukochane gołąbki w jasyr poszły—i patrz dziecię: jedna przepadła bez wieści, drugą w dniu wielkiego zwycięstwa znaleziono zamordowaną w namiocie wezyrskim. Za tyle ofiar, nawet rozkoszy zwycięstwa nie dano zakosztować starcowi. I czyż koniec tych cierpień? Nie, nie... ja czuję, że jeden jeszcze krzyż przyjąć trzeba.

Hanna. O! nie mówcie tak, matko.

Miecznikowa. Pod Parkanami była walka straszliwa. Tam, tam został z nich jeden, albo może obadwaj. Wrócił Starosta bełzki, wrócił pan Podkomorzy, pan Jasiński, pan Stolnik—czemuż ich nie ma jeszcze? Boże Narodzenie przejdzie, a my ich nie zobaczymy. W każdym domu radość gości i do biesiadnego zasiada stołu, u nas tylko żałoba, wieczna żałoba.

Hanna. Matko, serce mi rozrywacie.

Miecznikowa (*po chwili*). Masz słuszność, dziewczeczko. Zkąd mnie stariej, przywykłej do smutku i żałoby, przedwczesnym biadaniem ranić ci duszę. Przebacz, przebacz stariej, dla której tylko głogi i chwasty dawało życie; ty, różyczko moja, ty w blasku słońca życie wieść będziesz. No, no, popatrz na starą temi ślicznemi oczkami. I ja, i ja miałam takie, jakem szła z Miecznikiem na kobierzec. Płakałam bardzo, gdy mnie brał z pod skrzydeł matki; alem pokochała mego rycerza, bo to wielkie jest serce. Srogi i okrutny dla wroga, jak tygrys, a miłujący i tklivy dla mnie, jak gołąbek. Tak, takim był zawsze, a Stanisław do niego podobny: będziesz szczęśliwą. (*Wchodzi Wojski, staruszek o kuli*).

SCENA 2.

Miecznikowa.—Hanna.—Wojski.

Wojski. Aścki znowu w karesach.

Miecznikowa. Ano już to tak, panie Wojski; popłakałyśmy się przed chwilą, teraz się całujemy.

Wojski. A czegoż aścki płakały?

Miecznikowa. Czy już wszystko masz wiedzieć, panie Wojski.

Wojski. A od czegożem Wojskim? Jeżeli za głowy aśków odpowiadam, toć i za zdrowie na mnie odpowiedzialność cięży. Przyrzekłem Miecznikowi, że was nietylko bronić, ale i weselić będę; a tu le-dwie nogę za drzwi, już płacz, już lamenty.

Miecznikowa. No, no, nie gniewaj się stary. Czasem sercu użyć potrzeba. Tém przyjemniej będzie nam teraz zabawić się z asin-dziejem.

Hanna. Cóż noga waszmości nie wróży nam odmiany?

Wojski. Asannaby tylko ciągle odmiany chciała; przecież wczoraj wywróżyłem odmianę.

Hanna. Już mi się sprzykrzyła ta pogoda, chciałabym słońca trochę.

Wojski. A co u asińdźki słońcem się nazywa?

Hanna. To, co u wszystkich ludzi.

Wojski. Otóż nieprawda. Asińdźki słońce ma ręce i nogi, a takiego słońca moja noga nie wywróży... przedź serduszk aspanny. A cóż serduszk mówi?

Hanna. Płacze.

Wojski. No, to ja je utulę.

Hanna. Czy wiesz co panie Wojski?

Miecznikowa. Tyś dziś nie przyszedł napróżno. Mów, stary przyjacielu.

Wojski. A no, jak tak będziecie nacierać na mnie, to i sam głowę stracę i nic się nie dowiecie. Nie dziwiłby się pannie Hannie, boć to w swoim afekcie cała, ale Jejmość, Jejmość!

Miecznikowa. To u mnie serce z kamienia? Mogło było obrócić się w kamień, aleć mu jeszcze iskra życia została. Nie droż się ze mną starcze; mów, co wiesz.

Wojski (*całując jęć rękę*). No, no, no! nie gniewajże się Jejmość na starego sługę. Toć wiecie, żem wam nieba przychylić gotów. Otóż wieści są takie: Król Jegomość, dziś będzie tydzień, jak stanął w Krakowie; z nim wszystko, co przedniejsze z rycerstwa, przyciągnęło. Radość i uciecha w mieście niezmierna. Istne to tam dziwy rozpowiadają ludzie; choć i żałoby dosyć. Pan hetman Sieniawski, pan kasztelan Denhoff, zostali pod Parkanami.

Miecznikowa. Pod Parkanami... straszliwe ten wyraz ma dla mnie brzmienie.

Wojski. Ot wyraz... nazwa jest nazwą. Któż widział jakiś zły omen jęć przypisywać. Bóg nas doświadczył za grzechy... bo też po owém wiedeńskim zwycięztwie, bracia szlachta, słyszę wodze swywoli puszczają okrutnie... no i Bóg skarał, ale za to na drugi dzień pod Strygonium, pobłogosławił, bo cała turecka załoga w pień wy-cięta.

Hanna. Lecz cóż o naszych, o naszych?

Wojski. A nasi są w Krakowie niechybnie, a najprzedź w drodze.

Miecznikowa. W drodze? A zkadże aś wię, że w drodze?

Wojski. Tak sobie tuszę. Z Królem Jegomością przybyli... rozejrzeli się po mieście i dalej do domu... Może jutro... może dziś...

Hanna. Toż i tyle wszystkiego miałeś nam jegomość na uciechę powiedzieć.

Wojski. Oh! asińdźkaby chciała, żebym jěj tu zaraz z kieszeni pana Stanisława wytrząsnął; dla świętego spokoju zrobiłbym to, gdybym mógł... a kiedy powiadam, że przybędą dziś, jutro, to przybędą.

Miecznikowa. Wam jakieś straszne wyznanie z oczu patrzy, którego nie śmiecie powiedzieć. Czegóż się drożysz z nami, starcze.

Wojski. A Najświętsza Panno Częstochowska! cóż bo sobie jejmość do głowy przybiera? A to dalipan nie do wytrzymania z temi niewiastami. Drugi raz już nie zostanę Wojskim, aby tu aśki pilnować, ale tak, jakem kulawy i ślepy trochę, na tatarą pójść wolę. I cóż asińdźki chcecie, żebym mówił coby wam do serca przypadło? Milczę, źle; widać coś wię niedobrego, a powiedzieć nam nie chce. Zaczynam mówić, nie dobrze; w jego mowie czuć jakąś tajemnicę. A dajcież mi już święty pokój. Ot zabieram się i nie zajrzę aż powrócą.

Miecznikowa. Powrócą, powrócą. Czyż powrócą? Czyżby już Bóg ulitował się nad nami i przestał nas nękać tak okrutnie. Czyżby już wreszcie nad tym nieszczęsnym domem naszym spokój błogi i spoczynek zabłysnął?

Wojski. Ale niechybnie, niechybnie jejmość dobrodziejko... cierpliwości tylko. Ot na dobrą godzinę, aby się wróżby moje sprawdziły, do marysika siądziemy sobie z jejmością, a panna Hanna niech nam piwka ciepłego z grzaneczkami przyrządzi.

Miecznikowa. Najchętniej. (*Hanna wychodzi na lewo*). Będiesz mnie jegomość dziś ogrywał, bo takiego niepokoju nie doznawałam nigdy. Czy on mi radość, czy téż rozpacz przyniesie, nie wiem. Ha! dziękuję wola Twoja święta! Siadajmy.

Wojski (*całując jěj rękę*). Otóż tak, to lubię. (*Siadają—Wojski tasuje i rozdaje karty*).

Miecznikowa (*nasłuchując*). Słyszysz jegomość... burek zaszczeakał... a potem urwał nagle.

Wojski. Bierz jějmość. Chyba na kota, bo w taką niepogodę nie wiem, czyby się jaka ludzka postać do nas zabłąkała. Śnieg za kolana (*grają*).

Miecznikowa. Ja jednak słyszę wyraźnie jakieś głosy.

Wojski. To gumieny pewnie rozmawia z Walkiem. Mam czterdzieści...

Miecznikowa. Jak zwykle. (*Wchodzi Miecznik i Stanisław, w poszarpanej, nędznej odzieży, nogi w chodakach, przy szablach, stoją we drzwiach, patrząc na grających*).

SCENA 3.

Wojski, Miecznikowa, Miecznik, Stanisław, później Hanna.

Wojski. A jejmość swoim zwyczajem przymawiać zawsze musi. Piszę. Szczęśliwym w grze, zato mnie już nikt nie kocha a za jejmością choć przegrywasz, tęsknią i płaczą.

Miecznik. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wojski. Na wieki.

Miecznik. Dobrześ powiedział panie Wojski—tęsknią i płaczą. Basiu!

Miecznikowa. Ha!... co to?... Adam! Staś!

Stanisław. Matko najdroższa! Patrz ojcze... ona się chwieje... droga matko...

Miecznik. Basiu! serce.

Miecznikowa (*napół nieprzytomna*). To nic, nic... ale przed chwilą mówiliśmy... Czy to nie sen... Adamie, nie sen to... Wszak mówiliśmy przed chwilą (*wybuchu łkaniem wielkiem*). Oh! wy moi najdrożsi! Adamie mój, czy to ty istotnie? Oh! Boże wielki i sprawiedliwy, a ja tu nieszczęsna przed chwilą bluźniłam Imieniowi Twojemu.

Miecznik. No, no, nie alteruj się moja duszo, a błogosław Imieniowi Pańskiemu, boć cudem, cudem zachował mnie przy życiu. Witaj stary!

Wojski (*ociierając łzy*). Niechże ci Bóg setnych lat udzieli, Mieczniku, kiedyś mnie zluzować przyszedł.

Miecznik. Tak ci dopiekiły?

Wojski. Przed chwilą musiałem im opiekę moję wypowiedzieć.

Miecznikowa. Stasiu, mój drogi Stasiu! (*W tej chwili wchodzi Hanna z piewem na tacy: zobaczywszy przybyłych, rzuca wszystko na ziemię z hałasem*).

Miecznik. Wszelki duch! Aha! to panna Hanna takim wiatem nas przywitała.

Hanna. Pan Miecznik!... Pan Stanisław!...

Miecznik. No, do mnie... do mnie najpierw dziewczeczko moja. Oczęta czerwone. Masz, przywozłem ci go zdrowym i całym.

Hanna (*przybliżyła się do Stanisława, podając mu rękę, którą on z uczuciem do ust przyciska*). Cóż ta kresa?

Miecznik. To gościniec, jaki ci z pod Wiednia przynosi; prócz tego, nie znajdziesz u nas na owinięcie palca.

Stanisław. Mylisz się, ojcze dobrodzieju. Oto dla matki, a to dla chorążanki (*daje im kosztowności*).

Miecznik. Daj go katu, i nie zgubiłeś tego w Dunaju? Ja myślałem tylko, żeby duszę całą wam przywieźć, a ten o prezentach dla nich nie przepomniał.

Wojski. Od czegoż młody. (*Do Hanny*). No, już teraz asindzka o pogodę pytać mnie nie będziesz. (*Rozmawiają, Stanisław, Hanna, Wojski. Miecznikowie razem*).

Miecznik. No, jużes przyszła do siebie gołąbko moja? Cóż, płakałaś i modliłaś się za twym kochankiem? Bóg ci zapłać Basiu. Toć to i modły twoje towarzyszyły nam w bojach i od niechybnej strzegły śmierci. No, już téż teraz nie odstąpi cię twój Celadon aż do grobu. Ot kord mój stary, wyszczerbiony na łbach bisurmańskich, zawieszam na kołku i tylko się na sejmik jaki w niego przystroję, bo rąbać już nie ma kogo a i fantazyja gdzieś została pod Kahlenbergiem u trumienki Saluni.

Miecznikowa. Oh! mój drogi Adamie.

Miecznik. Nie płacz, gołąbko. Nie zapominaj, że ofiarą tylko Polska stała i da Bóg stać będzie do końca świata... Cóż... nam już teraz sięść pod piecem obojgu i pleść stare gawędy dla wnuków. (*Pokazuje młodych, którzy zostali oboje; Wojski u okien w głębi*).

Stanisław. Jakżem téż w serduszk u panny Hanny dobrodziejki zapisany?

Hanna. Nie ze wszystkiém dobrze, panie Miecznikowiczu... godziłoż to się panią matkę zostawiać tak długo bez wiadomości?

Stanisław. Nie było przez kogo polecić się sercom waszym.

Hanna. A my tu tyle trwogi, tyle też gorzkich za panem Miecznikiem wyplakały.

Stanisław. Tak jak i my za wami, dodam tylko jeszcze, żem oddzielnie się modlił za panią matkę a oddzielnie za kogós jeszcze.

Hanna. I jam czasami, krom pana Miecznika, smutne westchnienia za kimś stała.

Stanisław. Droga Hanno! Patrz, twój talizman nieodstępował mnie nigdy. (*Pokazuje na piersi mały obrazek N. P. Częstochowskiej*).

Hanna. A ja, wielem razy oblała łzami twój pierścionek?

Stanisław. Kochasz mnie?

Hanna. Do zgonu!

Wojski. A toż tu bryka za bryką wali do jegomości; gości ciżba, jak tatarów.

Miecznik. Mili sąsiedzi i przyjaciele! Niech Bóg będzie pochwalony. Otwórzcie na oścież wrota. Czém chata bogata.. Radbym, żeby ich tu tyle zeszło, co do kołodzieja Piasta, a jeszczeby ja dła i napitku stało, Bogu dzięki. (*Wchodzą, szlachta sąsiedzi, starzy i młodzi*).

SCENA 4.

Ciż. Sąsiedzi, Szlachta.

Szlachta. Mieczniku dobrodzieju!

Miecznik. Witajcie mili sąsiedzi i przyjaciele. Jakżem wdzięczny waszemu pocziwemu sercu. Ledwiem próg domu mego przestąpił, już mnie witacie. Błogosławieństwo to najwyższe z darów Bożych;

czyj dom sąsiad a przyjaciel nawiedzić raczy. Siadajcież. Choćby mi ściany rozwalić przyszło, kąta dla was nie zbraknie. Hej! miły Boże, nie ma to jak nasza strzecha a pod nią przyjaciel serdeczny, ciepły komin i kielich dobrego wina. Basiu! patrzaj, i pan Chorąży do nas zawitał. (*Wita się ze wszystkimi*). Stolniku kochany, niechże ci Bóg da niebo, na taki czas, pomimo pedogry. Pan Podstoli kochany. (*Muzyka za oknem gra poloneza „Witaj królu“*). A tam co? Podkomorzy zjechał z całą swoją kapelą. (*Wchodzi Podkomorzy*).

Podkomorzy. Witamy bohatera z pod Wiednia! Imieniem całego powiatu, hołd ci składam Miecznikowi.

Miecznik. Bóg zapłać, Bóg zapłać za pocziwe serca wasze, aleć godniejszym hołdy należą. (*Wchodzi stary sługa, szepcząc do ucha Miecznikowi*). Co? wieś cała z wójtem? Wprowadź go, wprowadź! Nie urażajcie się panowie bracia, że z dziatwą moją się przywitam. (*Wchodzi wójt, stary chłop rusin*).

Wójt. Bat'ku nasz, wy zdrów i cały, a my płakali bardzo; a to skazali szczo pomerli.

Miecznik. Zdrów i cały.

Wójt. Tam hromada za oknem; pokażcie im hołowu, bat'ku!

Miecznik (*otwiera okno*). Witajcie dzieci. (*Okrzyk za oknem*). Żyw! panoczku kochany!

Wojski. Mieczniku dobrodzieju, darujcie, my tu patrzymy na was, niby na raroga i różnie kiwamy głowami. (*Pokazując na strój jego*). Czy to wszystko, coście przywieźli z wiedeńskiej okazji?

Miecznik. Wszystko! (*Obstępują go dokoła*).

Wojski. Daj go katul z kordem prawda, ale boso do dyaska.

Miecznik. Tak, z kordem a boso, wróciliśmy z wyprawy, ale żebyście dwieście lat żyli, to już tego nie zobaczycie, na co myśmy patrzyli. O tém zwycięztwie będą mówić ludzie lat tysiące, dopóki ziemi stanie, dopóki ten Dunaj modry swoje wspaniałą wstęgę toczyć będzie. Dopóki księżyc, godło Koranu smętném światłem darzyć nas będzie. Wieki przeminą a sława dnia tego nie przeminie, bo ona zapisana tam na tych wspaniałych tablicach, gdzie ludzkość najświetniejsze swoje zdobycze kładzie: poświęcenia dla sprawy Chrystusa. (*Głos Diakowskiego za sceną*).

Puszczajcie mnie ludzie. Cóż tu się dzieje? Zajazd, czy napad jaki?

Miecznik. Kogóż Pan Bóg prowadzi? (*Wchodzi Diakowski z podwiązaniem okiem*).

SCENA 5.

Ciż. D i a k o w s k i.

Diakowski. Czołem przeczacnej kompanii. Czy zastałem pana Miecznika?

Miecznik. A prawda, że to waści tylko jedno oko zostało. Przecie mnie masz przed sobą.

Diakowski. Ściskam wasze nogi. A toż ja trzech koni zamęczyłem, pędząc za wami z Krakowa; ale gdzie tam dopędzić tego koźmi, co na skrzydłach do domu leci. Od Króla Jegomości do was przybywam.

Miecznik. Słucham rozkazów pańskich.

Diakowski. Pan Miłościwy szle pozdrowienie całemu domowi waszmości, a oddzielne komplementa jejmości Miecznikowej Dobrodziejce oddaje, i każe oświadczyć, że trzeciego dnia po świętach, zjeżdża z Królewiczem do Połonnego na dziki.

Miecznik (*uradowany*). Słyszysz Basiu! Słyszycie bracia! No i jak nie kochać tego naszego Jasia... a toć dla niego w kawałkiby się człowiek dał porąbać. (*Muzyka wchodzi na scenę; jednocześnie służba wnosi kielichy z winem*). Dawajcie kielichy! W ręce, panowie bracia i sąsiedzi. Niech żyje krew z krwi! kość z kości naszych! bohater, jakiego równego Europa nie miała; najukochańszy nasz, najmiłościwszy Król Jan Sobieski! (*Muzyka gra pobudkę; Vivat! — zasłona spada*).

K O N I E C.



**INSTYTUT
BADAŃ HEBRAICKICH PAN**
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-69, 26-62-31 w. 42

SPROSTOWANIE.

Str. 13 wiersz 13 i 16 od góry, zamiast *budowa* czytaj *buława*; wiersz 5 i 8 od dołu, zamiast *Askerlaz* czytaj *Askerlar*.

SPISOWANIE

Wydawnictwo Państwowe Naukowe, Warszawa, 1954

01170

F

2846

